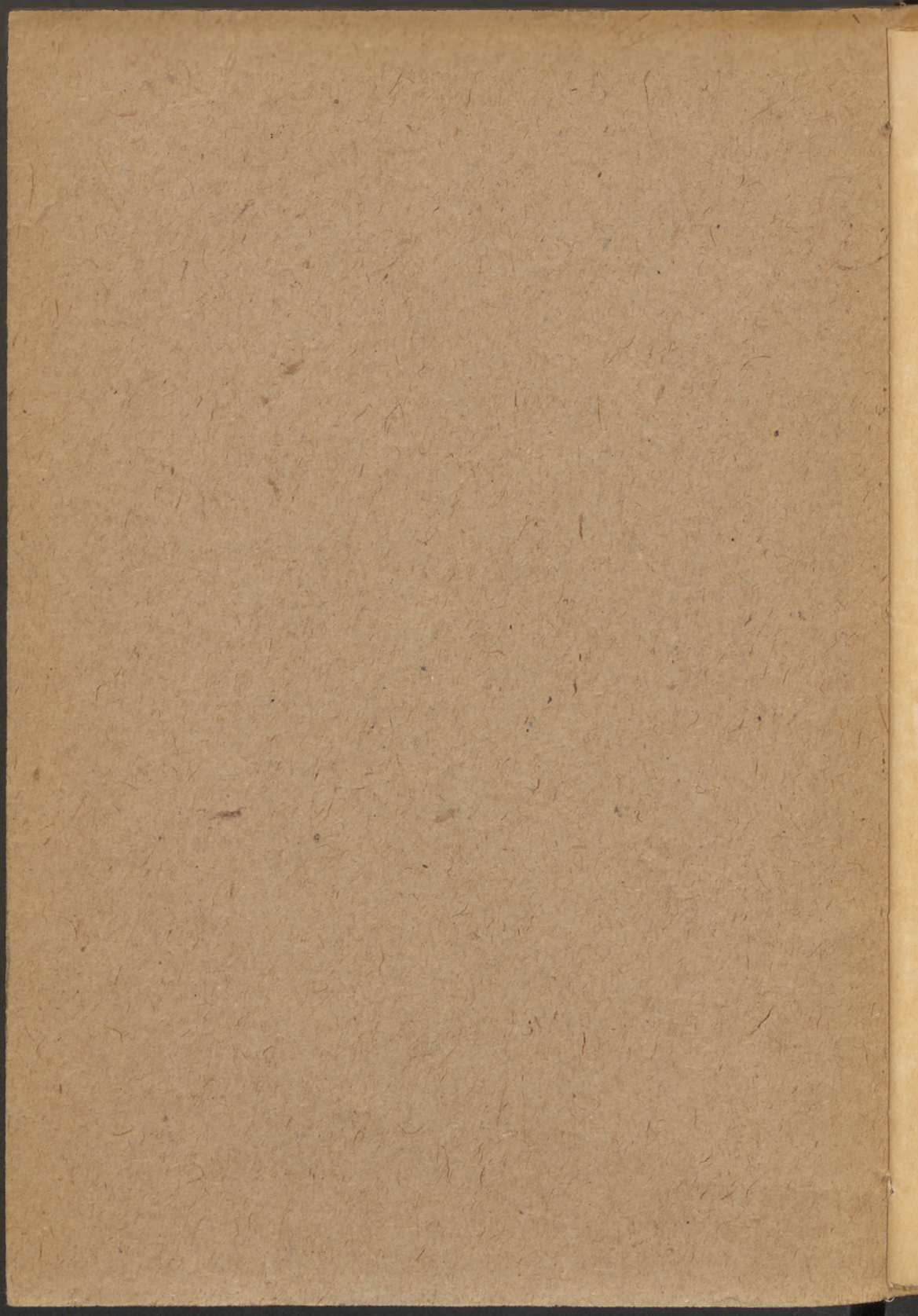


158877



158877

broszura

189

Z. 65

JAN ZAMORSKI
poseł do Sejmu.

UWAGI

o gospodarzem położeniu Polski



POZYŃ
Wielkopolska Księgarnia Nakładowa Karola Rzepeckiego.
1923

758.877

II



WZGONKAMI Drukarni Polskiej T. A., POZNAŃ

WSTĘP.

Nareszcie nawet najbardziej oderwanym od prawideł życia optymistom otworzyły się oczy! Jak Polska długa i szeroka jeden już tylko słycać głos, że jest źle, że tak dalej być nie może i że trzeba jaknajprędzej naprawiać Rzeczpospolitą, jeżeli niema zginąć. Jest to zjawisko pomyślne: jeżeli potrzeba naprawy zyskała powszechne uznanie, to może i na środki naprawy znajdzie się powszechna zgoda! A trzeba sobie i to uzmysłować, że obecnie już nie o naprawie, tylko wprost o ratunku powinna być mowa. Im dłużej przeciągnie się okres szukania środków naprawy, tem bardziej oczywistą stanie się dla wszystkich prawda, że tu nie o naprawę, zmianę, przeróbkę chodzi, lecz o ratunek, o życie i byt państwa!

Że zbliżamy się ku katastrofie, widzieli już oddawna ludzie o jaśniejszym umyśle i poczuciu odpowiedzialności. Ujmowali jednak zagadnienie jedynie w zjawisku, rzucającem się najbardziej w oczy... w stałym upadku waluty. I wyszukiwali sposoby na jej uzdrowienie. Stemplowanie, miernik rachunkowy, nawet zmiana napisu na polskich banknotach, miały być lekarstwem, które uzdrowi walutę, a z nią poprawi nasz stan gospodarczy. Zapominano o tem, że taka niestałość waluty jak u nas, nie jest przyczyną złego stanu gospodarki, tylko przeciwnie jego wyrazem i skutkiem! Jeżeli systemu gospodarki nie zmienimy, to zmiana papieru obiegowego nie przyda się na nic. Przypuśćmy, że w najbliższym czasie zamienimy marki na papierowe złote polskie o wartości franka szwajcarskiego. Na tym poziomie papierowy „złoty“ nie utrzyma się nawet przez miesiąc, a potem spadać będzie tak samo, jak spadała marka.

Inni uważali inflację, czyli nadmierne mnożenie się znaków obiegowych za przyczynę złego. I szukali sposobu, jakby zatrzymać maszyny, drukujące pieniądze. Nie patrzyli na to, że istotna wartość naszych znaków obiegowych maleje szybciej, niż mnoży się ich liczba! Jeżeli w r. 1920 pięć miliardów marek warte były 538 milionów franków szwajcarskich, to z końcem

roku 1922, emisja 793 miliardów naszych marek warta była tylko 133 milionów franków szwajcarskich, a 1300 miliardów z końca lutego 1923 nie warte już nawet całych 100 milionów.

Gdyby sama inflacja była przyczyną naszego złego stanu gospodarczego, to dla obywatela państwa byłaby to sprawa obojętna lub prawie obojętna. Zamiast dawnych jednostek złotych rozporządzałby taką samą ilością dziesięcio- czy dwudziestotysiączek i mógłby dalej pracować bez krępowania się. Tymczasem nikt dzisiaj niema tylu dwudziesto- czy pięćdziesięciotysiączek, ile przed wojną miał jednorubłówek i dlatego wszystkim jest żyć coraz trudniej!

W projektach naprawy, jakie mi dotąd wpadały w ręce, widziałem przeważnie jednostronne ujmowanie kwestji. Nie przeczę, że jest to walny środek do ułatwienia sobie zadania. Ale życie takich ułatwień, opartych na przeoczeniu innych zagadnień, nie znosi.

To też, jako człowiek, uprawiający już od 16 lat rzemiosło poselskie, uważam sobie za obowiązek przedstawić owoc swoich spostrzeżeń i doświadczeń, poczynionych w kilku krajach i państwach, ażeby zwrócić powszechną uwagę na to palące zagadnienie.

W przystępnej formie rzucam spostrzeżenia i uwagi o sprawach, których dotąd albo nie uwzględniano wcale, albo zamało i wzywam ludzi myślących do zastanowienia się nad nimi. A jeżeli zasadnicze linje mojego poglądu przyjmą się w społeczeństwie, mam nadzieję, że przyczynią się przez to w cząstce do ratunku.

Rozdział I.

Pauperyzacya (Zubożenie).

1. Zubożenie rentjerów.

Mało kto uświadamia sobie fakt, że wszyscy mieszkańcy Polski zubożeli w zastraszający sposób w ciągu ostatnich lat czterech. Za mało też zwracają na to uwagę politycy, ekonomiści i członkowie rządu. W planach uzdrowienia waluty, naprawy skarbu, reform administracyjnych i społecznych operuje się doktrynami, które za punkt wyjścia mają wyobrażenie, jakoby zamożność państwa czy jego obywateli była niewyczerpana! Wychodząc z tego założenia, szuka się tylko tych ludzi, czy gałęzi zarobkowania, z których ma się wycisnąć owe nieprzeliczone skarby na rzecz ogółu. Rozumie się, że każdy naprawiacz szuka owych mitycznych skarbów poza sferą i poza zawodem, do którego sam należy. Stąd podnieta do oskarżenia wszystkich innych, poza własnem kołem, o egoizm, chęć wyzyskiwania innych lub całego państwa, czyli nastrój wojny wszystkich przeciw wszystkim.

Ten nastrój nie pozwala na spokojne i beznamiętne rozejście się w istotnem położeniu narodu i państwa, a tem mniej na wyszukanie przyczyn upadku i środków na podniesienie się z niego.

Tymczasem faktem jest, że Polska staje się coraz bardziej krajem nędzarzy!

Jak mało ludzie zdają sobie sprawę z rzeczywistego położenia, o tem świadczy frazes powszechny, który przez kilka lat uchodził za niewzruszoną prawdę, iż Polacy są bogaci, a Polska biedna i że Polakom jest w Polsce bardzo dobrze, a Polsce z Polakami bardzo źle!

Tymczasem Polska czuje się taksamo jak jej obywatele: bardzo źle!!

Rozpatrzmy sprawę głębiej.

Wskutek spadku waluty zostali doprowadzeni do kija żebraczego ludzie, którzy żyli z procentów od kapitału. Czy ten kapitał był umieszczony na hypotece, czy w banku, czy też była to renta asekuracyjna, wszystko jedno. Wszyscy ci „kapitaliści“ par excellence zostali nędzarami. Jeżeli przyjmujemy skromnie ich liczbę na 100 tysięcy osób, zobaczymy, że ta część obywateli państwa, bez własnej winy, została zubożona doszczętnie i to bez ratunku.

Do nich należy doliczyć tych patriotów, którzy wszystkie swoje oszczędności umieścili w polskich pożyczkach państwowych. Jest ich więcej, niż się na ogół przypuszcza. Prawdziwi bogacze kupowali pożyczki dla oka w niewielkiej ilości — ale ludzie skromni, ubodzy, o gorącym sercu, umieszczali wszystkie swoje oszczędności w pożyczce własnego państwa, szczęśliwi, że tego państwa doczekali. Trzeba ich doliczyć do zrujnowanych „kapitalistów“. Nie będzie chyba przesadą, jeżeli się ich liczbę oznaczy na 100 000, co pomnożone przez 4, jako że w stanie inteligenckim rozrodczość jest mniejsza a częsta bezżenność, daje sumę 400 000 głów, zrujnowanych, zubożałych bez własnej winy!!

Nędzarami zostali wszyscy emeryci, tak odziedziczeni po państwach zaborczych, jak też i polscy emeryci wojskowi i cywilni. Nie wiem, jaką cyfrę przyjąć, ale może nie przesadzę, jeżeli razem z rodzinami, ustalę ją na pół miliona głów.

Mniej znacznie, ale niemniej gruntownie zubożeli ludzie, żyjący z pensji miesięcznej. Samych urzędników państwowych mamy 400 000, a urzędników miejskich, bankowych, gminnych, powiatowych i t. d. może drugie tyle. Nie chcąc przesadzać przyjmijmy ich liczbę razem tylko na 600 tysięcy, co pomnożone przez 4 daje liczbę 2 400 000 ludzi, wegetujących przeciętnie za dziewiątą część dochodów przedwojennych!

Z liczby 27 milionów mieszkańców najmniej 3 miliony upadły albo na samo dno nędzy społecznej, albo przynajmniej zostało wielokrotnie zubożonych!

A zubożenie to pociąga za sobą bardzo przykre konsekwencje i na dzisiaj i na dalszą przyszłość. Ci ludzie, żyjący z gotowego grosza, byli niegdyś głównymi odbiorcami wszystkich towarów. Nie potrzebując się krępować, sprawiali sobie i dzieciom bardzo często bieliznę, ubrania, obuwie, meble. Dziś, musząc się ograniczać, puszczają się na sprawunki tylko w ostatecznej konieczności i dlatego ruch handlowy nie rośnie tak, jakby powinien w normalnych warunkach. Warto się przyjrzeć sklepom z bielizną, kapelusami i t. d., ażeby się przekonać, że obrót „towarowy“ (nie „gotówkowy“) zmałał w niebywały sposób. Każdy kupiec powie, że obraca „mniejszą

ilością towaru, niż niegdyś. A ponieważ musi żyć i opłacać lokal, usługę, patent, podatek, więc na „mniejszej ilości towaru“ musi szukać tego samego zarobku, jaki miał niegdyś na większej ilości. Jest to zatem także jedna z przyczyn drożyzny, chociaż nie jedyna i nie główna nawet.

Wyrób mebli ustaje. Nietylko dlatego, że dla braku domów i mieszkań nie ma ich gdzie pomieścić, ale i dlatego, że główny kontyngent odbiorców zubożał. Dzieci funkcjonarjuszów, żyjących ze stałej płacy, żenią się jak ptacy, bo rodziców nie stać na sprawienie im choćby najskromniejszego urządzenia. Tłoczą się te nowe małżeństwa w pokoiłkach, na wypatroszonych sprzętach rodzicielskich, ale co będzie, gdy się doczekają potomstwa? O tem ani młodzi ani starzy nie myślą!

Tymczasem jest to zagadnienie piekące, pilne i niepokojące. Albo ci ludzie będą się uciekali do szkodliwych pod względem zdrowotnym środków celem uniknięcia potomstwa, albo też hodować będą zastępy najstraszniejszego proletariatu, nie tylko bez domów, ale bez osobistego łóżka, bez stołka, bez etażerki na papiery i książki. Będzie to hodowla już nie stadninowa ale chyba pluskiewna!

Ale jest jeszcze i drugie zagadnienie, dotyczące dalszej przyszłości.

Z pomiędzy sześciuset tysięcy „funkcjonarjuszów“ przynajmniej czterysta tys. żyje poza miastami uniwersyteckimi (cyfra stanowczo za niska), a przynajmniej dwieście tysięcy poza miastami, mającemi rządowe, czyli bezpłatne szkoły średnie. Przyjawszy liczbę dzieci w rodzinie funkcjonarjusza na troje, otrzymamy około sześćset tysięcy dzieci, którym trudno dać nawet średnie wykształcenie. A są to dzieci powołane z urodzenia do zawodu inteligenckiego, a nawet skazane na to, żeby tylko w tym zawodzie szukać chleba, bo prócz wykształcenia rodzice nie mogą im dać ani ziemi, ani warsztatu, ani realności, ani gotówki. To wykształcenie zaś dzisiaj mogą im zapewnić tylko pod warunkiem, że będą powiększali swoje dochody przez uboczne, może karygodne dochody!

Mogę, zdaje się, postawić paradoksalny aksjomat, że dzisiejsze położenie zmusza funkcjonarjusza do korupcji! Jednakże i ta korupcja nie zapewni mu możliwości wykształcenia dzieci, o ile warunki nie zmienią się gruntownie i kwestja tych gołych, nic nieposiadających dzieci, zostanie nadal otwartą.

Doszliśmy w ten sposób do liczby najmniej trzech milionów głów w Polsce, zubożonych sztucznie, częstokroć doprowadzonych do skrajnej, ordynarnej nędzy! Ich dzieci zaś są materialem na przedmiot handlu niewolnikami, na inwentarz ludzki, na proletarijat bez domu i sposobu do życia!

2. Zubożenie mieszczan.

Mówi się dosyć często, że robotnicy powiększyli znacznie swoje dochody! Było to prawdą przed dwoma i trzema latami. Dziś z tej prawdy zostały przeważnie tylko wspomnienia.

Prawdą jest, że niektórzy robotnicy, to jest pracujący w zawodach, bez których nie nauczone się dotąd jeszcze obchodzić, jak np. w drukarstwie, jeszcze i dzisiaj zarabiają więcej niż przed wojną — dalej że dzielni metalowcy, górnicy, a poczęści i tkacze fabryczni poprawiają swoje zarobki w miarę wzrastania drożyzny — ale na ogólną sumę sześciuset tysięcy robotników zawodowych (2 400 000 głów), jest takich szczęśliwców najwyżej 100 000. Większość to są już wyrobnicy sezonowi, pracujący po 2, 3 dni tygodniowo, często zgoła bezrobotni.

Ale przesilenie dzisiejsze grozi nawet owej szczęśliwej mniejszości wielką katastrofą. Dla braku gotówki i nieraz dla niemożności kalkulacji, pewna ilość fabryk zamyka warsztaty. Boję się, że zanim te słowa pojawią się w druku, Polska przemyśleć będzie poważne wstrząśnienie wskutek masowego zamykania przedsiębiorstw i zagadnienie bezrobotnych stanie przed państwem w postaci znacznie groźniejszej, niż w chwili ukończenia wielkiej wojny!

O sposobach rozwiązania tego zagadnienia nie tu miejsce pisać. Chodzi mi dziś o wykazanie, że liczba zubożonych Polaków wzrosła w sposób zastraszający. W tej chwili z pomiędzy robotników możemy przyjąć około 400 000 (1 600 000 głów) jako również bardzo zubożonych.

W miastach i ośrodkach fabrycznych oraz górniczych mieszka około 7 milionów głów. Odjąwszy od tego 4 miliony żydów i z górą 2 miliony robotników, pozostanie od 500 do 800 tysięcy mieszczan chrześcijan. Możemy ich posegregować na właścicieli realności, kupców i rzemieślników i praktykujących w zawodach wywołonych.

Właściciele realności, o ile poza czynszem nie mają innego jakiegoś sposobu zarabkowania, są przeważnie nędzarzami. Domy nie przynoszą im nawet tyle, ile sami płacą stróżowi, a na naprawy i oprocentowanie włożonego kapitału nie może nic zostać! Jest to klasa dzisiaj najbardziej z pod prawa wyjęta i najbardziej zubożona. Nietylko, że nie ma dochodów, nietylko że do własności, o ile chce ją zakonserwować, musi z innych źródeł dopłacać, ale sam obiekt posiadania, dom, stracił najmniej dziesięciokrotnie na swojej wartości. Przy sprzedaży dom przechodzi w drugie ręce za dziesiątą część tej sumy, jakiejby potrzeba na wybudowanie takiego nowego domu.

Na właścicielach realności widać najbardziej oczywiście skutki naszego ustawodawstwa i przymusowe zubożenie, (spauperyzowanie) narzucone z góry przez rząd i Sejm!! Dlatego podkreślam ten objaw, bo posiadanie realności było niegdyś dowodem zamożności! Powtóre zaś owo przymusowe zubożenie jest sztucznem okradaniem własnych obywateli, niesprawiedliwionem przez prawa naturalne.

W Polsce braknie około 160 tysięcy domów, bo zostały zniszczone przez wojnę. Skoro zatem brak jest domów i mieszkań, to wedle prawideł naturalnej gospodarki, domy, które ocalały, powinny mieć cenę znacznie wyższą od istotnej wartości, to jest od kosztów budowy. Tymczasem stało się akurat odwrotnie i dlatego ten objaw jest taką żywą ilustracją niedorzeczną, wprost samobójczą gospodarki w naszym państwie, obliczonej na zubożenie, okradzenie, spauperyzowanie własnych obywateli!!

Rzemieślnicy biorą przeważnie zapłatę wyższą niż przed wojną. Ale zato coraz rzadziej mają robotę! I wytwarza się błędne koło. Rzemieślnik otrzymawszy zamówienie, dyktuje wygórowaną cenę, ażeby sobie odbić dni, w których nic nie zarobił — a publiczność, odstraszona cenami, stara się jaknajrzadziej coś zamawiać. To samo dotyczy roznosicieli, tragarzy, dorożkarzy. Ponieważ ich ceny są coraz mniej dostępne dla ogółu, publiczność stara się obchodzić się bez ich pomocy, nosi sobie sama pakunki, chodzi piechotą lub jeździ albo nie jeździ — tramwajem, a ci pracownicy, wzywani coraz rzadziej do posług, starają się przy coraz radszych sposobnościach wydrzeć tyle, ile im potrzeba na przeżycie czasu, w którym brak im zatrudnienia.

Kupcy bronią się przeciw spadkowi waluty, podwyższając bardzo często ceny do wysokości, któraby się kalkulowała, ale mimo wszystkich zabiegów, mimo zarzutów paskarstwa, mimo kar, które mają stwierdzać, że trudnią się lichwą, ilość towaru maleje w ich sklepach! Objaw to bardzo częsty, zwłaszcza w miastach średnich, że zapasy towarów u tego samego kupca zajmują coraz to mniejszą przestrzeń. Całych sklepów z magazynami nie zapełniają, jak niegdyś, bo ich na to nie stać. A to chyba jest najlepszym dowodem, że stale z dnia na dzień ubożeją!

W społeczeństwie, staczającym się w nędzę tak jak nasze, osoby i warstwy, które walczą przeciw takiemu upadkowi choćby z bardzo wątpliwym skutkiem, wzbudzają zazdrość powszechną. Nie przypatrując się z bliska sprawom, ogół całkowicie bezbronny wobec nieuchronnej i wzmagającej się nędzy, okazuje skłonność do uważania kupców nietylko za bogu-

czy, ale za tych, którzy teraz właśnie porastają w pierze, co więcej, zyskują na powszechnem zubożeniu, a wreszcie wywołują to zubożenie, czyli są sprawcami drożyzny a więc pa-skarzami!!

Jest to zapatrywanie niesprawiedliwe i krzywdzące. Zdolność stałego zapełniania magazynów w tę samą ciągle ilość towarów takiej samej jakości jak pierwej, maleje — czyli: kupcy także ubożeją tak jak inni, tylko w tempie mniej przyspieszonym. Ponadto przez własnowolne podwyższanie cen bronią się przeciw zalewającej ich nędzy. Są więc w położeniu korzystniejszym, a raczej mniej niekorzystnym niż funkcjonarjusze, właściciele domów czynszowych i robotnicy, bo skala ich zarobków jest elastyczniejsza. W porównaniu do tych, którzy już zostali nędzarami, jako też do tych, którzy się do nędzy zbliżają, mogą kupcy uchodzić za ludzi zamożnych, lub nawet bogatych. Jeżeliby stan dzisiejszy miał być tylko krótkim okresem przejściowym, kupcy byłiby jedną z tych nielicznych warstw, któreby ten czas wyjątkowy przetrwały bez niepowetowanych szkód. Ponieważ jednak nie zanosí się na rychłe ukończenie dzisiejszego beznadziejnego stanu, przeto należy stwierdzić, że i stan kupiecki będzie dalej ubożał na wzór innych stanów, chociażby mniej pospiesznie, że jego szeregi będą się przerzedzały przez bankructwa lub zwinięcia interesu, a reszta przemieni się w kramikarzy!

Fakt, że niektórzy kupcy nabywają kamienice lub nawet majątki ziemskie, dowodzi tylko, że te objekty spadły w cenie i że w dzisiejszych czasach powszechnej płynności i niepewności te objekty mogą uchodzić za jedyną pewniejszą lokatę oszczędności. Nie zmienia to faktu, że zdolność nabywacza kupców maleje, czyli, że i oni także ubożeją.

Mówiąc o stosunkach po miastach, nie można zapomnieć o **bankach**. I tu także trzeba zaznaczyć, że banki przerażająco zubożały. Wiele mniejszych banków zlikwidowano, a na ich miejsce powstały nowe, przeznaczone przeważnie na spekulację walutową!

Prawda, że banki płacą swoim urzędnikom pensje znacznie wyższe od płac funkcjonariuszów państwowych. Prawda i to, że dyrektorowie i t. p. dygnitarze asygnują sobie renumeryacje, wprowadzające w osłupienie i zazdrość masy zubożałych. Ale też i na tem prawie kończy się ich działalność. Można by postawić paradoks, że głównym celem banków jest dzisiaj zdobycie funduszków na utrzymanie własnych urzędników i dygnitarzy. Zdobywa się zaś te fundusze przez spekulacje walutowe tudzież transakcje, któreby w czasach normalnych podpadały pod karne postanowienia przeciw lichwie!

Natomiast właściwych celów nie spełniają banki, bo nie mają funduszów. Przecież trudno sobie wyobrazić, nie jeden bank polski, ale całe konsorcjum banków, któreby potrafiły sfinansować kanalizację jakiegokolwiek miasta, budowę linii kolejowej, lub choćby mostu na większej rzecze, otwarcie nowego szybu węglowego i t. p. A przed wojną robiły to banki z łatwością. Najlepszy to chyba dowód, że zubożały!

Streszczając wszystkie dotychczasowe wywody, stwierdzam, że wszyscy mieszkańcy miast, wszystkie zawody zubożały! Różnica jest tylko w stopniu zubożenia. I wskutek tego masy nędzarzy patrzą z zazdrością na tych mielicznych, którzy ostatkiem sił bronią się jeszcze przeciw zalewającej ich fali nędzy, którzy zubożeli w stopniu mniejszym!!

Co więcej! Gminy miejskie zubożały w sposób tak beznadziejny, że nawet na utrzymanie swoich pracowników muszą zaciągać pożyczki u rządu! O naprawie bruków, zaprowadzaniu nowych urządzeń komunikacyjnych czy zdrowotnych, a broń Boże o upiększeniach niema dzisiaj mowy!

A stan ten pogarsza się z dnia na dzień. Ludność się pauperyzuje, a osady miejskie popadają w brud i ruinę! O ile rychło nie położy się tamy, miasta nasze upodobnią się do miast z czasów saskich, kiedy to miasto składało się z czterech kościołów i dziewięciu karczem, a broniło się pokrzywą i ostem!!

3. Zubożenie rolników.

Ludność miejska patrzy z zazdrością na wieś i wierzy w bogactwo rolników. Jest tych rolników 20 do 22 milionów głów, co podzielone przez 5, da około czterech milionów rodzin.

Wojna zniszczyła całkowicie 1 200 000 gospodarstw, a więc rodzin. Bez względu na rozmiar gospodarstwa można przyjąć, że każdy człowiek, któremu wojna zniszczyła budynki, inwentarz i narzędzia, jest biedakiem, stopniowanym od dokuczliwego ubóstwa aż do najskrajniejszej nędzy, wprost ordynarnej, niepojętej dla europejczyka. W każdym razie wszystkich zniszczonych przez wojnę można uważać za zubożonych w porównaniu do stanu przedwojennego. A jest ich prawie trzecia część wszystkich rolników.

Już z tego powodu nie można mówić o wzbogaceniu się całego stanu rolniczego, skoro trzecia część tego stanu jest zrujnowana i podnosi się tylko w nieznacznym procencie z tej ruiny, a nigdzie nie osiąga swojej sprawności przedwojennej. Prawdą jest, że rolnicy, regularnie obdłużeni przed wojną, płacali przeważnie bardzo lekko, bo z krzywdą dla wierzycieli (prywatnych czy banków, wszystko jedno) swoje długi. Pozbyli się więc jednej żmory.

Ale nie wszyscy ludzie, zapisani jako rolnicy, mogli mieć długi, bo nie wszyscy mieli podkład hipoteczny na ich zaciąganie.

Weźmy tę sprawę na inny rachunek. W byłej Galicji było przed wojną około 1 300 000 gospodarstw rolnych. Z tego, o ile dobrze pamiętam, było z górą 300 000 gospodarstw nie dochodzących obszaru jednego hektara, a z górą 800 000 (wliczając i poprzednie) nie przekraczających powierzchni 4 hektarów. Jeżeli byśmy, bez względu na jakość gleby, przyjęli, że dopiero pięciohektarowe gospodarstwo wystarcza na wyżywienie rodziny, to musielibyśmy powiedzieć, że dwie trzecie rolników nie mogły wyżywić się z posiadanej roli i musiało szukać ubocznych zarobków, ażeby dokupywać żywność.

W innych dzielnicach stosunki są inne, na ogół podobno korzystniejsze. Gdy się jednak ludność bezdomną i bezrolną, żyjącą w czworakach, (tej kategorii nie zna były zabór austriacki) doliczy do liczby rolników, kto wie, czy będzie wielką omyłką twierdzenie, iż w całej Polsce połowa, a może i dwie trzecie ludności wiejskiej nie potrafi wyżywić się z roli posiadanej.

Jeżeli nawet uwzględnimy fakt, że za polskich rządów formalnie zawodowi uzyskali znaczną poprawę bytu, bo obliczaną w naturze, i mają się lepiej niż w ostatnich latach wojny, to i ta uwaga nie wiele zmienia w gospodarczym stanie rzeczy. Przy końcu wojny przymierali głodem i chodzili odarci, teraz jadają do syta i odziewają się jako tako. Majątku, bogactw, nie mieli i nie mają. To też w rozważaniu zamożności społecznej nie wchodzi w rachubę. W żadnym razie nie można ich uznać za warstwę, która po wojnie wzbogaciła się i jest na drodze do zamożności.

Można zatem z całym prawdopodobieństwem przyjąć, że najmniej połowa, ale najpewniej dwie trzecie rolników nie może wyżywić się z własnego gospodarstwa i musi żywność dokupywać lub dostawać. Że zaś poza żywnością, którą sami wytwarzają, muszą kupować wszystkie inne towary, odzienie, żelazo i t. d. musimy ich uznać za biedaków. Zaczem z cyfry czterech milionów rodzin rolniczych trzeba prawie trzy miliony uznać za biedotę, która niejednokrotnie para się z najstraszniejszą nędzą.

Bieda ta jest tem dotkliwsza, że teraz niema w kraju żadnych większych robót. Ruch budowlany po miastach nie istnieje, nie buduje się nowych linii kolejowych, mostów i dróg, nie naprawia się nawet starych, nie otwiera się nowych kopalń ani fabryk, nie reguluje się rzek. Małorolni nie mogą zatem

dorobić do swoich niewystarczających zbiorów tyle, ażeby do syta podjeść i znośnie się okryć.

Dlatego panuje u nas taka gorączka emigracyjna, chęć wyjazdu do Ameryki czy do Francji, bo w kraju dla większości mieszkańców niema możliwości zapracowania nawet na wystarczającą ilość chleba powszedniego. Zarzuci powierzchowny obserwator, że przesadzam, ponieważ ci zagrodnicy i chałupnicy cenią bardzo wysoko swoją pracę, ilekroć ofiaruje się im dorywczy zarobek. Gdyby bowiem cierpieli biedę, poprzestaliby na skromnym zarobku, byleby mieć jakikolwiek dochód.

Że ci ludzie drożą się ze swoją pracą, to nieraz prawda! Chodzi o to, czy ich żądania są istotnie wygórowane, gdyby się je przeliczyło na złoto, na cenę zboża, obuwia lub narzędzi rolniczych. Zdaje się, że wtedy okazałoby się, że żądana przez wyrobnika zapłata nie jest za wysoka, tylko nie może być zapłaconą przez pracodawcę, bo tenże zubożał!

Ale jest jeszcze inna, zasadnicza przyczyna. Inaczej pociągą praca stała, a inaczej dorywczą. Gdy biedakowi raz na miesiąc lub na tydzień trafi się możliwość zarobku, to powiada sobie, że to i tak go nie zbawi, więc nie warto się do tego zabierać, chyba za sowitem wynagrodzeniem. W ten sposób brak pracy wywołuje jej drożyznę i na odwrót drogość pracy powoduje zmniejszanie się sposobności do niej.

Wyrobnicy i zagonowcy schodzą powoli do rzędu robotników przymusowych. Zbyt ubodzy, żeby się zdobyć na własny sprzężaj, godzą u zamożniejszych gospodarzy obróbkę własnych zagonów. Ale posiadacz koni i narzędzi rzadko przyjmuje zapłatę — żąda przeważnie odrobku w porze żniw lub obsiewów, a żąda go w bardzo wysokiej mierze. Wytwarza się więc na wsi powoli stosunek pańszczyźniany między chałupnikiem a kmieciem. Na to nasi lewicowcy, uprawiający doktrynerstwo, a nie znający życia, nie zwrócili dotąd uwagi.

Do tych, prawie trzech milionów, biednych rodzin włościańskich (od 12 do 15 milionów głów) trzeba doliczyć nędzarczy, stworzonych przez bardzo „postępowe“ ustawy polskie, mające lud wiejski uszczęśliwić. Myślę o kolonistach, osadzonych w myśl ustawy o reformie rolnej i o nadaniu ziemi żołnierzom. Ilu ich jest, dokładnie nie wiem. W województwie tarnopolskiem osadzono 5 000 rodzin (około 25 000 głów). Przyjmując nawet połowę tej liczby na województwo (prócz Śląska, Poznania i Pomorza), otrzymamy przypuszczalną liczbę 26 do 30 tysięcy rodzin na całą Polskę, a więc od 120 do 150 tysięcy głów. Rzeczywistość mogłaby tę cyfrę pomnożyć dwa, a może i trzy razy.

Są to wszystko nędzarze. Pewna część z pomiędzy nich ma już chatynki, ale całkowicie pobudowanego, zaopatrzonego w potrzebny inwentarz i narzędzia kolonisty jeszcze nie spotkałem, chociaż zajmują się tą sprawą. Być może, iż kiedyś ich większość zostanie samowystarczalnymi gospodarzami. Dziś jednak są to i w najbliższych kilku latach będą to tylko nędzarze! Do nich trzeba doliczyć 7 tysięcy osadników wojskowych, często bez rodzin, a więc znowu 20 tysięcy głów, również nędzarzy.

Ludzi tych wyciągnięto z ich dawnych środowisk, gdzie byli jako tako urządzi i rzucono ich na pastwę nędzy. Podobno 20% kolonistów wyginęło z niewygód na różne zaraźliwe choroby. Może ta cyfra przesadzona. Faktem jest, że ściągnięto ich złudnemi nadziejami na gorszą nędzę, że ich zatem zubożono.

Zubożenie to dotknęło równocześnie wszystkich fornali z parcelowanych majątków, bo ci nie mieli za co ziemi kupić, tudzież sąsiadujących z obszarem parcelowanym wyrobników, którym zabrano możliwość sezonowego zarobku na folwarku.

Jest to smutnem potępieniem doktrynerów, którzy zabrawszy się do krajania folwarków, nie pamiętali, o otwarciu nowych źródeł zarobku dla tych, którym sprzątano z przed nosa dawne możliwości pracy.

Licząc wszystkich w ten sposób jeszcze bardziej zubożonych ludzi tylko na 200 tysięcy głów, otrzymamy cyfrę najwyżej ośmiuset tysięcy rodzin rolniczych, (około 4 miliony głów) które wyżyją ze swoich gospodarstw, a nawet mogą sprzedać nadwyżkę produkcji. Na 27 milionów ludności, na 20 do 22 milionów rolników jest to cyfra przerażająco mała!!!

Na tych ludzi wskazuje się jako na bogaczy, paskarzy, wyzyskiwaczy, jako na tych, do których przeszły te bogactwa, o jakie większość mieszkańców czuje się uszczuploną.

Ale cyfra niespełna miliona rolników samoistnych wymaga jeszcze znacznej korektury. Bo między gospodarstwami „wystarczającymi sobie“, jest bardzo wiele takich, które tylko wystarczają w myśl ekonomicznej zasady, niestety bardzo naszej: „Maciek zrobił, Maciek zjadł“. Tych za bogaczy uważać niepodobna!

Ale mniejsza nawet o to. Kwestja w tem, czy ci „wystarczający sobie“ zubożeli czy też się wzbogacili?!

Smiem twierdzić, że oni także zubożeli. Nie należy się dać zmylić gazeciarskimi opowieściami, często przesadzonemi, o zbytku, panującym na wsi, o hucznych weselach, meblach, perfumach i t. d. Takie wypadki są marnotrawstwem, a mar-

notrawstwo jest objawem niezdrowych stosunków gospodarczych, nigdy zaś dowodem bogactwa.

Ale przełożmy tę zamożność na siłę wytwórczą lub nabywczą. Przed wojną nieobdłużony gospodarz 20, 30 morgowy mógł rzucić chatę i wybudować sobie murowany dworek o kilku pokojach. Mógł też, wydając córkę za mąż, wybudować jej całe obejście (dom, stajnię, stodołę) i zaopatrzyć je w inwentarz, narzędzia i sprzęty. Dziś właściciel 200 morgów nieobdłużonej ziemi nie zdobędzie się na ten wysiłek. A co to znaczy? To znaczy, że jego zdolność nabywczą, czy wytwórczą zmalała. A więc zubożał!

To zubożenie pociąga za sobą bardzo niepokojące skutki. Na wsi nie budoje się nowych obejść. Ludzie się żenią i mieszkają razem z rodzicami. Jeszcze kilka lat takiej gospodarki, a chaty nie pomieszczą przyrostu, lub też ludzie będą musieli sprzedawać ziemię, aby się zdobyć na dach nad głową ze stałym współmieszkańcem: nędzą!

Przechodzę do największych tuzów, którzy są przedmiotem zazdrości i nienawiści powszechnej: do ziemian czyli obszarników. Jeden z nich wyrachował mi, że za całą krescencję nie mógłby nabyć potrzebnych mu dwu wagonów nawozów sztucznych! Ale bierzmy rzecz inaczej. Przypuśćmy, że kataklizm zniszczył dwór razem z budynkami gospodarskimi. Największy magnat nie zdobędzie się na ich odbudowanie! Trzebaby chyba jeden folwark sprzedać, aby się brać do odbudowania drugiego. Zdolność nabywczą i wytwórczą zmalała i tutaj wielokrotnie. Czyli obszarnicy zubożeli. To, że w odziedziczonych domach żyją swobodnie i wzbudzają zazdrość milionów, nie jest jeszcze dowodem ich wzbogacenia się, ale tylko dowodem jaskrawszego i pospieszniejszego zubożenia owych licznych milionów ludzi!

Znałem na Śląsku cieszyńskim magnata, który przed wojną, żyjąc po pańsku, co drugi rok otwierał nowy szyb węglowy. Dziś największy magnat polski (o ile niema kapitałów przedwojennych lub wojennych zagranicą!) musiałby napiąć całą swoją zdolność kredytową i wyprzedać zbiory aż do zrujnowania gospodarki rolnej, ażeby zbudować w całym swem życiu jeden szyb węglowy!

Więc i ci ludzie zubożeli.

Okazuje się to najlepiej w cenie ziemi, która jest właściwym majątkiem rolników. W niektórych okolicach Polski (np. w byłym zaborze pruskim) uważano do tego stopnia ziemię za jedyny majątek rolnika, że przy sprzedaży gospodarstwa pobierano przeciętną cenę od morga, a budynki, inwentarz i narzędzia uważano za przynależność, niejako bezpłatną, do ziemi.

Dzisiaj wartość ziemi zmalała w rękach właścicieli wielokrotnie. Przed wojną za morg ziemi z parcelacji płacono tyle, ile wynosił dziesięcioletni, a często i piętnastoletni zbiór żyta z jednego morga. Co do ziemi, nie pochodzącej z parcelacji, cena była wielokrotnie wyższa. Dziś za jednoroczny zbiór żyta z jednego morga można kupić dwa morgi ziemi, a przed trzema laty można było kupić nawet cztery morgi. Ponieważ zboże w wolnym handlu utrzymuje się mniej więcej na poziomie cen, przeliczonych na złoto, a więc równych cenom przedwojennym, jest to dowód, że właściwy majątek, to jest ziemia, straciła dziesięciokrotnie, a nawet dwudziestokrotnie swoją wartość. Można te cyfry łatwo skontrolować. Mimo zakazów handel ziemią odbywa się w cenach dolarowych. I jeżeli przed wojną morg polski kosztował 150, albo 200 dolarów (w niektórych okolicach 300, a nawet 500), to dzisiaj przechodzi z rąk do rąk za cenę od 25 do 40 dolarów, przeliczanych na miliony marek!

Jest to dowód, że majątek — ziemia — czyli właściwe bogactwo w rękach rolników zmalało bez ich winy. Dopóki rolnik nie potrzebuje niczego budować ani kupować, dopóty żyje sobie wygodnie, dostatnio, czasami zbytownie. I dlatego budzi powszechną zazdrość.

Ale sprawa zmienia się od razu, jeżeli dostatni rolnik chciałby coś zbudować lub kupić. Gdyby nawet jakimś cudem znalazł bank czy zwykłego wierzyciela, który miałby ochotę pożyczyc mu pieniędzy, to jego zdolność kredytowa, jego hipoteczne zabezpieczenie, zmalało tak niepomiernie, że mógłby uzyskać zaledwie ułamkową sumę w stosunku do sumy przedwojennej.

Stan dzisiejszy tej niewielkiej zresztą liczby zamożnych rolników możnaby określić jako wygodny stan wegetacyjny, w którym każda zmiana może wywołać groźne przesilenie. Wybudowanie nowego domu, zaopatrzenie gospodarstwa w maszyny rolnicze, częstokroć nawet zakupno nawozów sztucznych, są czynnościami, przechodzącymi w możliwość gospodarczą zamożnych i dostatnich rolników.

Wskutek tego kultura rolnicza obniża się gwałtownie. Gospodarstwa w województwach zachodnich trzymają się jeszcze, bo zostały niegdyś zaopatrzone w maszyny rolnicze. Ale ich przykład nie oddziałuje na resztę Polski, bo zamożnych rolników nie stać na takie podnoszenie systemu gospodarki.

Jeżeli zważymy, że majątek narodowy szacuje się wedle wartości ziemi i realności, to sztuczne obniżenie wartości tych przedmiotów (ziemi i domów miejskich) do jakiegoś znikomego ułamka, odbija się niekorzystnie na szacunku majątku pań-

stwa i na jego zdolności kredytowej. Gdyby innych przeszkód nie było, zagraniczny kapitał mógłby Polsce udzielić pożyczki dziesięciokrotnie niższej, niżby należało, gdyby u nas były normalne warunki.

Obok zrujnowania olbrzymiej większości mieszkańców obniżono siłę nabywczą, wytwórczą i kredytową tych nielicznych już warstw, które jeszcze nie zostały doprowadzone do bankructwa.

Twierdzę, że wszyscy mieszkańcy Polski zostali zubożeni, tylko nie w równym stopniu, tak że kiedy jedni zaznajomili się już z czarną nędzą, inni z niedostatkiem, pewna część może jeszcze żyć wygodnie z dnia na dzień. Nie należy ludzię się pozorami. Niektórzy postrzegacze notują, że teraz więcej się pija, więcej się bawi, a nawet lepiej się ubiera niż przed wojną. Nie śmiem ani potwierdzać ani przeczyć temu spostrzeżeniu.

Zauważę tylko, że ciągły spadek waluty pociąga za sobą konieczność pozbywania się chwilowych nadwyżek dochodu, ażeby je uchronić od straty. Kupuje się więc garderobę, meble i t. d., a gdy nadwyżka i na to nie wystarczy, przejada się ją i przepija.

I jeżeli istotnie prawdą jest, że pijaństwo dzisiaj kwitnie więcej niż przed wojną, to trzeba z punktu widzenia społecznego skonstatować, że jest to tylko naturalny wynik dzisiejszych nieuregulowanych stosunków. Dziś mało kto oszczędza. Przechowywać gotówki nie można. Nadwyżki nigdy nie są tak wielkie, żeby za nie można było nabyć coś wartościowego jak np. dom lub kawałek ziemi. Nie można też nabywać takich wartości na raty, bo nikt nie potrafi skalkulować z góry spłat ratalnych, ani też przyszłej możności płatnika. Objekty wartościowe mogą przechodzić z rąk do rąk tylko za gotówkę. W ten sposób wykluczony jest zmysł oszczędnościowy.

Dawniej robotnik lub urzędnik mógł na spłaty ratalne kuścić się o dom własny, wile, ziemię, o ogród. Dziś jest to niemożliwe.

Wskutek tego nie buduje się nowych domów, nie powiększa się wydajności. Rolnictwo upada z dnia na dzień i ziemia jałowijeje.

4. Upadek gospodarki społecznej.

Jak powierzchownie ocenia się nasze położenie, tego dowodem sprawa lasowa. Ktoś, nie namyślając się, puścił w lot frazes, że Polska ma taką obfitość lasów, iż one same wystarczyłyby na spłacenie wszystkich długów i na ufundowanie skarbu. Tymczasem obszar ziemi leśnej liczy tylko 22% obsza-



ru całej Polski, to znaczy ze względów klimatycznych i 5% za mało. Obszar ten jednak nie jest bynajmniej zalesiony w sposób prawidłowy. Jeżeli przyjmiemy 15% obszaru na las wedle wymagań nauki, to przyjmiemy i tak jeszcze procent korzystniejszy od rzeczywistości. Przecież poleskich bagien z brzoźkami i leszczyną nie można uważać za lasy! Wojna i spekulacja powojenna zmniejszyły w zastraszający sposób powierzchnię leśną. O zakulturowaniu wyrębów głucho. Na ich miejscu mnożą się wydmy lotnego piasku lub obnaża się skała w Karpatach, bo wody splukują urodzajną ziemię, odkrytą przez dzikie wyręby bez zachowania ostrożności, nakazanej dla lasów ochronnych. Chlubimy się puszcza Białowieską, zapominając, że została dobrze przetrzebiona przez Niemców i że z górą 60% pozostałego jeszcze drzewostanu jest zarażona kornikiem!!

Przyrost roczny naszych lasów dzisiaj już nie wystarcza na zapotrzebowanie naszych fabryk papieru. Nasze fabryki papieru razem wzięte nie pokrywają zapotrzebowania papieru nawet w naszym kraju analfabetów. Musimy zatem sprowadzać z zagranicy albo papier, albo surowiec dla papierni albo oboje razem. A co zostaje na budulec, na opał? Niezadługo będziemy musieli progi kolejowe sprowadzać z zagranicy, a do lat pięciu czy dziesięciu nikt się nie dokupi buduleca ani opału. Zamknięcie granicy dla eksportu drzewa nie wiele pomoże, bo tu trzeba rozpocząć planową gospodarkę leśną. Tymczasem o niej nie słychać, a za to mnożą się wnioski i apetyty na rabunkowe wyrabianie tych resztek lasów, które jeszcze stoją.

W ten sposób możemy wkrótce zamienić część obszaru Polski na całkowity nieużytek!

Jest więc źle. Coraz mniej jest ludzi, a kto wie, czy wogóle są jeszcze tacy, których byłoby stać na otwarcie nowych szybów węglowych, naftowych, kopalń rudy żelaznej, cynku, ołowiu i miedzi. Najtańszym szybem jest jeszcze szyb naftowy. A przecież widzimy, że wierceń nowych już się prawie nie przedsięwzięło i nasza produkcja naftowa zaczyna ograniczać się do wysączania resztek ze starych szybów!! Niezadługo nie będzie Polaka ani nawet spółki Polaków, którą byłoby stać na przedsięwzięciu nowych wierceń z obliczeniem ryzyka. A tak i bogactw naftowych nie zdołamy wyzyskać własnymi siłami!!!

Coraz mniej jest ludzi, którzy mogliby sobie pozwolić na budowanie domów czy fabryk. Coraz mniej nawet takich, którzy mogą sobie pozwolić na kupowanie sprzętów, obrazów, a nawet książek i gazet. Coraz mniej i takich, których stać na zapewnienie sobie opieki lekarskiej podczas choroby.

Nasze bogactwa ziemne stają się niedostępne dla eksploatacji przez nasze własne środki!

Bolszewicy wymordowali i okradli rosyjskich bogaczy, a teraz wyprzedają częściami Rosję obcym kapitalistom na cząsową lub wieczystą eksploatację! U nas zubożono bogatszych i dlatego uruchomienie bogactw naturalnych w Karpatach, ziemi Krakowskiej i Kieleckiej będzie niebawem niemożliwe dla obywateli polskich. Za przykładem bolszewików będziemy musieli tę eksploatację oddać obcym kapitalistom!

W miarę ubożenia ludności ubożały miasta, powiaty, prowincje i państwo. Dziś trudno sobie wyobrazić, żeby państwo nasze mogło się porwać na zbudowanie nowej linii kolejowej, na regulację rzek, i na inne inwestycje!

Najlepszym dowodem naszego ubóstwa jest wartość naszych banknotów: 1200 miliardów emisji warte zaledwie 100 milionów franków złotych, gdy tymczasem w państwie tak dużym jak nasze, potrzebaby dla załatwienia codziennych transakcyj przynajmniej półtora miljarda pełnowartościowej, złotej monety obiegowej.

Rozpoznanie choroby brzmi więc krótko: Polacy bankrutują i Polska razem z nimi!! Klęska wzrasta z dnia na dzień i jeżeli się jej rychło nie położy tamy, Polska przemieni się w kraj nędzarzy, którzy, niezdolni do inwestycji, nie będą niczego produkować i niczego eksploatować! Będziemy krajem, eksportującym tylko zgłodniałe siły robocze, o ile je gdziekolwiek dopuszczą, jako t. zw. łamistrajków.

Rozdział II.

Przyczyny upadku.

1. Socjalizm.

Jakaż jest przyczyna tego upadku?

Odpowiedź krótka: Jedną z przyczyn, to... socjalizacja!!

Socjalizm zwalcza własność i kapitalizm (co prawda, tylko własny, polski!). Celem przyspieszenia „raju“ przyszłości, socjalizm podkopuje wszystkie wartości, które dotychczas uchodziły za niewzruszone. Przy pomocy natrętnego frazesu, a równocześnie i polskiej bezmyślności, udało się socjalistom przeprowadzić niektóre zasady, zachwalane jako najwyższy wyraz „postępu“. Na lep tego socjalistycznego postępu poszły stronnictwa, które teoretycznie sprzeciwiają się wszelkim zakusom socjalizacji. Niemniej dwie trzecie części ustawodawstwa polskiego są zarażone doktryną socjalistyczną, która nie licząc się z nieodmiennymi prawidłami życia gospodarskiego, ani też z naturą ludzką, prowadzi do zabicia kultury, uniemożliwienia przedsiębiorczości, obniżenia produkcji i upadku moralnego i materialnego. Socjalizm jest dogmatem kradzieży i pasożytnictwa! W całej literaturze i publicystyce polskiej, we wszystkich mowach sejmowych i wiecowych, nie można znaleźć u polskich socjalistów ani jednego konkretnego pomysłu, wniosku, planu, któryby przewidywał, jak można otworzyć nowe źródła zarobkowania, aby dać możliwość coraz przyzwoitszego życia coraz szerszym rzeszom ludzi, pragnących pracy! Nie spotkaliśmy się nigdzie nawet z utopijnymi planami dla eksploatacji naszych bogactw ziemnych, dla utworzenia nowych fabryk i nowych warsztatów pracy.

Socjalistom wystarczy stan taki, jaki jest dzisiaj i siłą głowy nad tem, jakby wywłaszczyć właścicieli! Celem jest „uspołecznienie“ czy „unarodowienie“ fabryk, kopalń, domów, tych które jeszcze ocalały wśród wojny, jeszcze vegetują. Środkiem

do tego celu jest wprowadzenie do zarządu tą cudzą własnością rozmaitych rad robotniczych, czy rad lokatorskich, których członkowie mają bez pracy korzystać z zapłaty jako delegacji. Celem więc jest zabór cudzej własności, czyli kradzież, a środkami pasożytnictwo, czyli życie na cudzy koszt!

Tą dążnością do pasożytnictwa jest nietylko zabór państwowej drukarni oraz domów państwowych na Lesznie i w Alejach Jerozolimskich w Warszawie, a zapewne i w innych miastach, ale także nieskończona ilość urzędów jak t. zw. „Ochrona pracy“, Kasy chorych itp., urlopowanie na kolejach i gdzieindziej t. zw. delegatów związkowych i t. d. Można by wyliczyć liczne tysiące ludzi, którzy w ten sposób żyją na koszt państwa, na koszt cudzy, dlatego, że należą do partji socjalistycznej!! Natomiast ciż sami socjaliści nie raczyli pomyśleć o sposobach uruchomienia i zreorganizowania nawet tych fabryk, które były czynne przed wojną. A już o założeniu nowych, o otwarciu nowych kopalń itd. szkoda nawet mówić. Sam więc program zasadniczy mówi, że ma za zadanie nie wzmoczenie wytwórczości, nie powiększenie możliwości pracy, lecz tylko i wyłącznie zabór czyli kradzież tego, co jeszcze jest, jeszcze się ostało. A świadomość głosicieli tego programu mówi im wyraźnie, że zabór źródeł wytwórczości jest równoznaczny z ich zniszczeniem! Do tego się nie przyznają otwarcie, ale to wiedzą. Jest to jakaś doktryna samobójstwa ludzkości. Wiadomo przecież, że przy zmniejszeniu się wytwórczości zmniejszy się także możliwość utrzymania się milionów ludzi przy życiu. Po zaborze i idącym za nim zniszczeniu warsztatów pracy głód musi zabić połowę lub więcej ludności. I mimo to uparci doktrynerzy głoszą dalej swój program zniszczenia ludności, a tłumy, skazane przez ten program na zaturę, oklaskują swoich katów i wierzą im.

Socjalizm jest niemoralny nietylko dlatego, że odrzuca etykę religijną, że wbrew odwiecznym zasadom współzycia ludzi ogłasza kradzież cudzej własności jako program społeczny, ale i dlatego, że poza problematycznym braterstwem członków partji między sobą przemienia współzycie ludzi na wzajemne pożeranie się dzikich bestyj między sobą. Jest to antyteza nauki, na której opiera się możliwość rozwoju ludzkości, głoszącej, że ludzie powinni się „społecznie miłować“. Wprowadza bowiem społeczną walkę na śmierć i życie zamiast społecznej miłości.

Socjalizm zabija wszelką przedsiębiorczość, zapobiegliwość, ochotę do czynu, bo zapowiada, że dobroczynna opatrność w postaci rządu socjalistycznego, zapewni człowiekowi mieszkanie, życie, wygodę, dobrobyt: wszystko, że człowiek sam nie

potrzebuje, nie powinien troszczyć się o siebie, o swoją rodzinę, o przyszłość, albowiem ten obowiązek spada na innych, na rząd, Sejm, fabrykanta, właściciela, jednym słowem na wszystkich innych z wyłączeniem tylko tego jednego człowieka, o którego los chodzi!!

Gdy zaś wszyscy ludzie w imię równouprawnienia żądają indywidualnie tej obcej opieki dla siebie, gdy wszyscy obwiniają się wzajemnie o niewystarczającą skuteczność tej cudzej opieki, wyradza się taki splot wzajemnych pretensyj, oraz, nienawiści i wściekłości, że życie społeczne staje się coraz bardziej piekłem nie do wytrzymania i że nieświadomione wybuchy niezadowolenia stają się dzisiaj formą współzycia!!

Ta wścieklizna wzajemna, zaszczipiona przez socjalizm, budzi instynkty niszczycielskie. Rozjuszona masa burzą, palą, niszczy wszystkie przedmioty sztuki, zbytku, wygody, wszystkie urządzenia skomplikowanych ułatwień życia i właczają ludzkość a więc i same siebie w powrotne barbarzyństwo!

Opowiadanie o tem, że na miejscu zburzonego życia powstanie nowe, doskonalsze, jest kłamstwem! Nowe życie kulturalne może zakwitnąć tylko po nawrocie zdziczałych mas do zasad rozwoju i postępu, ustalonych w cywilizacji łacińskiej, czyli po wyrzeczeniu się socjalizmu! Krew przelana i urządzenia zniszczone w międzyczasie są więc zbyteczną, bezpłodną stratą!!

I nie może być inaczej, skoro socjalizm budząc łakostwo na cudze, apeluje do instynktów zbrodniczych, a zwalając troskę o człowieka na instytucję, poza człowiekiem czy ponad nim będące, hoduje próżniactwo. Opiera się więc socjalizm tylko na najniższych, upadających czynnikach: na zbrodni i próżniactwie!

Jest to objaw chorobliwy. I tym objawem tłumaczą się owe dzikie, rozpasane rządy bolszewickie, urągające rozsądkowi i doświadczeniu. Lenin, Trocki, Bela Kuhn,*) Samuely i t. d. wszystko to są ludzie na drodze do obłądzenia z powodu „choroby“, którą również tłumaczy się pragnienie krwi i sadystyczne rozkoszowanie się w okrucieństwach u katów Rosji, Węgier, Bawarii i t. d.

Ci ludzie wszędzie dla wywołania zamachu uciekali się do pospolitych zbrodniarzy. Wszędzie zamach zaczynał się od otwarcia więzień i wypuszczenia kajdaniarzy. Także i u nas! Kiedy przed kilku laty socjaliści próbowali ataku na Sejm Ustawodawczy, skierowali swoje kroki pod więzienie moko-

*) Bolszewicy ubezwładnowili Belę Kuhnę z powodu paraliżu postępowego.

towskie, aby wypuścić na wolność przestępców! Kiedy w Poznaniu przystąpiono do rozruchów, uwolniono z więzienia kryminalistów.

Ten to socjalizm potrafił wielu ludziom, po słowiańsku ociężyć, zwłaszcza w myśleniu, narzucić swoje recepty i poglądy, jako wykwit postępowości. I zaraził wiele mózgów, bo pod suggestją socjalizmu próbowano w Polsce „nowy zaprowadzić ład“ i zubożono wszystkich! Trzeba było niebываłego zaślepienia i zaciętrzewienia, ażeby, mimo widocznego spustoszenia, trwać dalej w swoich samobójczych społecznie doktrynach. Tylko „pomyleniem“ można ten upór wyjaśnić, bo człowiek normalny wzdrygnąłby się przed zniszczeniem, jakiego dokonał.

2. Odwieczne prawa rozwoju.

Doświadczenie wieków uczy, że bodźcem pracy, a więc i postępu ludzkości, jest interes, zysk, korzyść. W tym interesie osobistym mogą być różne stopnie, które mu nadawać mogą nawet świętość. Kto dla korzyści własnej duszy po śmierci, poświęca swoje interesy ziemskie, kto dla zadowolenia swego samopoczucia doskonałości czy piękna, jest po ziemsku bezinteresownym, kto dla ideału Ojczyzny, oświaty, postępu, zapomnia o sobie, ten jest „świętym“ religijnie lub społecznie.

Ale niemniej może być uważany za egoistę, tylko wyższego, szlachetniejszego gatunku. Nie jest bowiem całkowicie bezinteresownym, bo dba o własną duszę, o spokój własnego sumienia, bo widzi swój interes w szerzeniu swoich zasad. Ale zaniedbując interes materialny dla interesu wyższego moralnego, staje się jednostką społeczną pożyteczną i dlatego zasługuje na cześć i szacunek.

Jednakże i pragnienie korzyści materialnej, doczesnej, nie zasługuje bynajmniej na potępienie, o ile ta korzyść nie jest osiągnięta z krzywdą innych. Zresztą i socjalizm nie odrzuca korzyści osobistej. Tylko chce zaspokajać chęć zysku przez kradzież cudzego dobra, już wytworzonego, zamiast ją skierować ku wytwarzaniu dóbr nowych. Czyni to zaś za pomocą zniesienia lub zachwiania bezpieczeństwa godziwych korzyści, przez podkopanie prawa wogóle, a prawa własności osobistej w szczególności.

U starożytnych żydów istniała własność plemienna i rodzinna. Własność osobista była dozwolona w postaci użytkowania przez lat 50, poczem wracała do rodziny. To drobne odchylenie się od własności niekwestjonowanej sprawiło, że Żydzi nie wytworzyli żadnej kultury ani postępu w rolnictwie, rzemiośle,

przemysle, budownictwie i sztukach pięknych, że prócz sofistyki religijnej, w której zresztą przewyższyli ich późniejsi Grecy, nie wnieśli niczego do skarbnicy ludzkiej i stali się pasorzytami jeszcze imperjum rzymskiego.

Zachwianie prawa własności wytwarza więc tylko pasorzytów, co leży zresztą w naturze rzeczy. Człowiek, nie mogący powiedzieć sobie: „To jest moje i nikt mi tego nie odbierze“, nie przywiąże się do ziemi, domu, warsztatu, nie zasmakuje w pracy dla tej ziemi, domu, warsztatu, nie będzie mnożył widocznego bogactwa dla siebie i dla dzieci, bo nie ma ochoty pracować dla jakiegoś nieznanego okpiświata, któremu jego dorobek przysądzą. On chce być pewnym owoców swojej pracy i chce nimi uszczęśliwić swoje dzieci, czy też gminę, społeczeństwo, państwo, w drodze niekrępowanego rozporządzania.

Pasorzyt mnożyć może tylko pieniądze, tudzież używać. Hazard, który jest nieodłącznym składnikiem spekulacji pieniężnej, zastępuje pracę wytwórczą, która znowu jest atrybutem człowieka posiadającego własność nieruchomą. Jeden pracuje, drugi hazarduje — oto objaw zewnętrzny poczynań dwu odmiennych i sprzecznych systemów układu społecznego.

Starożytny Rzym oparł się na prawie własności. A jak wszechstronną rozwinął kulturę, jak nieograniczone otworzył perspektywy dla postępu, widzimy i czujemy wszyscy, bo co w nas, jako narodach, a nawet osobnikach, jest cennego i wiczystego, to zawdzięczamy Rzymowi.

Socjalizm jest nowożytną formą walki uszlętego i pustoszącego wszystko judaizmu, z twórczym, doskonalącym się, wicznie młodym i bujnym romanizmem.

Wielka obfitość żydów w Polsce, ich natręctwo propagandowe i pośredniczące zaraziło wiele umysłów. Stąd nasz smutny stan dzisiejszy.

Przeszacowano u nas i odebrano cenę wszystkim wartościom nawet stałym, niezależnym od kursu spekulacji.

3. Sztuczne deprecjonowanie wartości.

Najpierwotniejszym znakiem wartości jest ziemia i budynek. Ziemia wymaga, żeby w niej pracować, bo inaczej jest nieproduktywnym nieużytkiem, a budynek jest już wprost wytworem pracy. Zaczem praca jest prawdziwym wytwórcą majątku, bogactwa, dobrobytu — jedynym warunkiem i środkiem wzbogacenia się. Ale musi to być praca planowa, świadoma środków i celów. Tę stronę pracy doskonalili, a nawet wprost czyni możliwą wiedza i zdatność. Planowa praca, opar-

ta na umiejętności i fachowości, stwarza majątek, który przez oszczędność staje się bogactwem.

Dochodzenie do bogactwa prawdziwego jest możliwem tylko przez wytwarzanie nowych wartości, nowych dóbr.

Lewicowo pomyślana reforma rolna zawiesiła nad jedną piątą częścią obszaru uprawnego groźbę wywłaszczenia za połowę przedwojennej ceny, branej nominalnie, a nie wedle spadku waluty. Państwo ma prawo wywłaszczyć jeden mórg za cenę znaczka pocztowego na jeden zwykły list niepolecony. Gdy piąta część roli w całej Polsce została w ten sposób zdeprecjonowana, wszystka rola w całej Rzeczypospolitej spadła do jednej dziesiątej i mniej swojej istotnej wartości. Zubożono w ten sposób sztucznie wszystkich rolników, wielkich i małych. A jest ich w Polsce trzy czwarte mieszkańców!

Jest niegodnym wybiegiem lub nieznanomością spraw gospodarczych tłumaczenie, że to sztuczne obniżenie wartości ziemi ułatwia ubogim rolnikom nabycie gospodarstw!

Ogół rolników, a garść kolonistów, to nie są wartości współmierne. Po czterech latach istnienia takiej reformy rolnej zdołano sprzedać parcele zaledwie 24 tysiącom osadników, licząc w to i 7 tysięcy osadników wojskowych, a cyfra ta jest znikomym drobiazgiem w zestawieniu z 22 albo choćby 20 milionami wszystkich rolników, czy też z 4 milionami rodzin rolniczych. Wygląda ten proceder gospodarczy tak, jak gdyby ktoś oddał całą ulicę Marszałkowską w Warszawie na zburzenie, aby ułatwić kramikarzowi wybudowanie sobie budki na sprzedawanie wody sodowej!

Dokonawszy tego spustoszenia gospodarczego, nie uszczęśliwiono bynajmniej tych 24 tysięcy osadników. Oni nabyli ziemię stosunkowo tanio (co prawda, dotychczas nie są jeszcze jej hipotecznymi właścicielami). Ale nabywszy tanio, stali się właścicielami obiektu o małej wartości. Ta taniość nabycia, wywołana sztucznem zdeprecjonowaniem wszystkiej ziemi, sprawia, że nabyta ziemia jest niewystarczającym podkładem hipotecznym dla pożyczek inwestycyjnych. Duża włościańska parcela nie daje podkładu dla pożyczki na budowę domu, budynków gospodarczych, a nawet na sprawienie inwentarza czy narzędzi i maszyn. Osadnik jest kaleką gospodarczym. Właśnie to sztuczne potanie, które mu umożliwiło nabycie kilkunastu morgów, czyni go niezdolnym do pobudowania się, do zagospodarowania, do zamienienia się na jednostkę gospodarczą silną i wytwarzającą. I jest to albo samobójcza demagogja, albo ślepotą, jeżeli po dotychczasowych doświadczeniach, zamiast zrewidować ustawę o reformie rolnej, chce się natężyć robotę wedle niezmienionych zasad, ażeby zamiast 24 tysięcy nędzarzy

zyskać 300 tysięcy kalek gospodarczych!! Zagospodarzeni trzymają się na powierzchni, bo ceny plonów, czyli renta od zmniejszonego majątku nie została zmniejszona. Handel zbożem jest wolny i ceny zboża oraz innych produktów rolnych są mniej więcej normalne. Nienormalnym jest tylko objaw, że dochód z małego majątku jest wielki, nie w znaczeniu bezwzględnym, bo on jest normalny, a tylko majątek został sztucznie pomniejszony. Dziś komisariat do walki z drożyzną chce przez sekwestr umniejszyć i te normalne dochody tak, żeby już w Polsce wszyscy zostali nędzarzami. Dopóki zatem rolnik kupuje, buduje, wytwarza to, co z bieżącego dochodu wytwarzać można, czyli dopóki wegetuje w stosunkach, w jakich zostawiła go wojna, dopóty nie znać na nim zubożenia. Co więcej! ze względu na potaniecie ziemi mógłby z bieżących dochodów zakupywać nowe parcele czy folwarki. Ale tam, gdzie w grę wchodzi rękojmia majątku, tam zaraz widać, że jego siła nabywcza i wytwórcza, jego zdolność kredytowa wielokrotnie zmałała.

Lewicowa reforma rolna dokonała tego, że w kraju o natężonym głodzie ziemi, ta pożądana ziemia straciła wielokrotnie swoją wartość i stała się wskaźnikiem ciągle malejącego majątku.

Przyczyną nieszczęść miejskich jest lewicowa ustawa o ochronie lokatorów. Ustawa ta wytworzyła osobne zjawisko, sprzeczne poprostu z naturą, że w kraju, w którym wojna zniszczyła 160 tysięcy domów, w kraju najstraszniejszej w Europie nędzy mieszkaniowej, pozostałe domy straciły swoją wartość, a ich cena sprzedażna nie dosięga nawet dziesiątej części kosztów budowy! To zjawisko wystarczy dla wyjaśnienia, czemu u nas, mimo tak rozpaczliwego braku mieszkań, nie buduje się nowych domów.

Po tej socjalistycznej operacji zdeprecjonowania ziemi i domów, czyli wielokrotnego pomniejszenia majątku prywatnego i narodowego, trudno będzie uzyskać częściową naprawę skarbu za pomocą podatku majątkowego. Takie przedsięwzięcie jest sprzeczne z systemem. System dotychczasowy zmierzał do pomniejszania majątku; trudno więc na nim zbudować zwiększenie wydajności daniny od majątku. Chcąc w podatku majątkowym zyskać poważne źródło dochodów dla skarbu, należy zmienić system, który w jednostajnie przyspieszonym tempie pomniejsza wartość ziemi i domów, czyli stale uszczupla majątki i bogactwo.

Pomniejszenie wartości ziemi nie wyszło na pożytek kolonistów tak samo jak pomniejszenie wartości domów nie przyniosło korzyści ogółowi lokatorów. O wyjątkach spekulujących, w ogólnych mych rozważaniach nie mówię.

I nie może być inaczej. Pojęcie majątku i bogactwa jest nierozłączne od prawa własności. Socjalizm zaś dąży do zniesienia własności, czyli do skasowania majątku i bogactwa. Wyniki osiągnął już znaczne na tej drodze — ale nie powinien dziwić się własnemu dziełu, ani gniewać się na małą wydajność podatków. Osłabione gospodarczo społeczeństwo nie może na rzecz państwa łożyć wzmocnionych i zwiększonych świadczeń.

Albo chce się mieć dochody duże, to trzeba starać się o podniesienie zamożności obywateli — albo pauperyzuje się obywateli, a wtedy trzeba się liczyć z wysychaniem dochodów i chudym skarbem.

4. Obniżenie wartości realnych, czyli brak bezpieczeństwa prawnego.

Obok zasadniczej różnicy między systemem socjalistycznym, a państwowym, w ustawach powyższych zabójczą jest także strona moralna.

Tak reforma rolna, jak ochrona lokatorów były koniecznością, zwłaszcza po wojnie. Chodziło o ducha, który miał być ich rodzajną, tworzącą siłą.

Duch ten mógł być albo państwowym, albo klasowym. Państwowy byłby zwrócił całą swoją uwagę, cały swój wysiłek w kierunku ochrony jednostek gospodarczo słabszych przed wyzyskiem, tudzież w kierunku dopomożenia bezrolnym i małorolnym do uzyskania samowystarczalnych gospodarstw rolnych. Duch państwowy byłby podyktował środki, które pomagają słabszym do wydobycia się ze słabości. I każdy zrozumie, mając bodaj pruskie przedwojenne wzory kolonizacji wewnętrznej na oku, że można było wprowadzić reformę rolną, korzystną dla bezrolnych i małorolnych, a nie rujnować wszystkich rolników. Włoskie wzory (Commissione per gli affitti), a bodaj i nasz własny projekt posła Jasiukowicza wskazują, że można było wprowadzić ochronę lokatorów bez rujnowania właścicieli domów i bez zabijania ruchu budowlanego!

Ale motorem tych ustaw nie była myśl państwowa, tylko zawiść społeczna, mściwość i złośliwość walki klasowej. Zapomniano o interesie słabych gospodarczo rolników i lokatorów, ażeby jaknajdotkliwiej dać się odczuć wielkim rolnikom czyli obszarnikom i właścicielom domów czyli kamienicznikom! Cel mściwości klasowej osiągnięto. Zmniejszono majątek, to jest siłę nabywczą, kredytową i wytwórczą rolników i doprowadzono do nędzy kamieniczników! Ale to zubożenie nie ograniczyło się na warstwach ściganych przez zawiść klasową. Zubożeli nietylko obszarnicy, ale wszyscy rolnicy.

a niby to uszczęśliwieni koloniści znaleźli się w położeniu bez wyjścia, zaś nędza mieszkaniowa wzmaga się z dnia na dzień, bo we większych miastach corocznie opróżnia się dziesiątki starych domów, które grożą zawaleniem się! Za lat kilkanaście połowa lokatorów może doczekać się tego, że mając przywilej mieplacenia czynszu, znajdzie się bez dachu nad głową, bo dachy runą!

Zawiść i mściwość społeczna nie jest czynnikiem twórczym, regulującym współzycie. Jest to popęd niszczycielski. Dlatego należy ją odróżnić od współzawodnictwa, czyli szlachetnej zazdrości. Zawiść jest uczuciem semickim, współzawodnictwo rzymskiem. Zawistny powiada sobie, że albo wydrze drugiemu przedmiot, wzbudzający jego zazdrość, albo też zniszczy go, nie mogąc wydrzeć, ażeby także ten drugi nie miał, skoro on sam nie ma. Ogranicza się więc w zakresie gospodarstwa społecznego do walki o dobra już istniejące, które ewentualnie niszczy, ale nie wytwarza dóbr nowych.

Natomiast współzawodnictwo, czyli zazdrość łacińska, widząc u drugiego przedmiot cenny i godny pożądania, wyteżę wszystkie siły, ażeby przez pracę i zapobiegliwość wytworzyć, nabyć, zbudować coś równego, a jeżeli można to i cenniejszego jeszcze. To uczucie wytwarza nowe dobra, powiększa majątek.

Nasze ustawy są owocem wydzierczej i niszczącej zawiści, a nie twórczego współzawodnictwa. Dlatego nie stwarzają nic, tylko umniejszają istniejący majątek, niszczą wartości.

Myślałyby ktoś, że skoro ziemia już jest rozdzielona, nie można mówić o twórczym współzawodnictwie na roli, bo obszaru ziemi nikt nie powiększy, a więc jedni muszą go wydzierać drugim, już posiadającym. Byłoby to słuszne, gdyby miernikiem majątku rolnego była wyłącznie liczba posiadanych morgów.

Tak nie jest. Jeżeli w Krakowskiem właściciel dwustu morgów polskich jest już obszarnikiem, a piętnastomorgowy gospodarz wioskowym bogaczem, to w Nowogródzkim i Wileńskiem dopiero właściciel dwóch tysięcy morgów przestaje uchodzić za drobnego rolnika, a 60 morgowy gospodarz wychodzi z grona biedaków wioskowych.

Pole do współzawodnictwa jest więc ogromne. Przez planową, intensywną gospodarke można na miejscu jednego obszarnika pomieścić kilku lub kilkunastu gospodarzy, z których każdy mógłby po pewnym czasie osiągnąć ze swojego gospodarstwa większe dochody niż dotychczasowy właściciel z całego niepodzielnego obszaru. Mamy na Pomorzu i w Wielkopolsce takie średnie gospodarstwa sprawniejsze i intratniejsze niż latifundja kresowe. Zamiana gospodarki rolnej z eksten-

sywnej na intensywną jest pomnażaniem dóbr, czyli wzbogacaniem ludzi.

Jeszcze bardziej widoczną jest różnica między niszczycielską zawiścią lewicy, a twórczym współzawodnictwem prawicy przy sprawie domów miejskich. Gdyby ustawa była podyktowana chęcią obudzenia szlachetnej zazdrości, mielibyśmy dzisiaj tysiące nowych domów, nowych dóbr, nowych bogactw. Ustawa mogła wywołać i pobudzić ruch budowlany, który jest dzisiaj w zupełnym zastoju.

Dwie te ustawy zachwiały zupełnie bezpieczeństwem prawnym. Dziś nikt nie jest pewnym tego, co posiada. Wkłady w bankach, sumy, umieszczone na hypotekach, zostały zdeprejonowane i niepewność prawna zapanowała w Polsce. To samo stało się z rolą i realnościami miejskimi.

Fakt, że wstrząsające podwalinami życia państwowego i gospodarczego „zasady“ reformy rolnej uchwalono jednym głosem większości, musiał wywołać wrażenie, że w Polsce wszystkie niespodzianki są możliwe. To też groźby wywłaszczenia kopalń, fabryk, lasów i ziemi nie uchodzą za niepoczytalne wybryki demagogji, lecz za projekty, z których możliwością trzeba się liczyć. To też Polska straciła zagranicą kredyt. Dziś ani państwu, ani prywatnemu właścicielowi nikt nic nie pożyczy. Sprowadzenie więc obcych walut do kraju staje się coraz trudniejszym.

Myśl o tem, że obcy kapitaliści, w braku własnych, uruchomią nasze martwe bogactwa ziemne, należy zaliczyć do utopji, dopóki trwa dzisiejszy system gospodarczy w Polsce! Trudno sobie wyobrazić takiego lekkoducha zagranicą, któryby włożył miljony pełnowartościowe w kopalnie lub fabryki, skoro nie jest pewnym, czy jakaś nowa uchwała Sejmu, bodaj jednym głosem większości powzięta, nie odbierze mu całej własności!!

Bezpieczeństwo prawne poprostu nie istnieje w Polsce. Uchwalono np. maximum posiadania na kresach w obszarze 400 ha, a wewnątrz 60 ha lub 180 ha, ale teraz całkiem spokojnie mówi się o odwróceniu tych cyfr. Wobec tego nikt nie może zaręczyć, czy za lat kilka nie pomniejszy się tych cyfr do 50, 30, 10 ha na rodzinę?

A w takim razie nie można marzyć o kapitaliście, banku, cudzoziemcu, któryby tak zachwianą własność przyjął jako hypoteczny podkład pod pożyczkę długoterminową. Sowiety, zniszczywszy bogactwo i bogaczy rosyjskich, przystępują do wyprzedawania bogactw ziemnych zagranicznym kapitalistom na eksploatację. Ale one mogą tym eksploatatorom dostarczyć masowo „bydła roboczego“ w postaci rosyjskich robotników, wyjętych z pod prawa. My tymczasem, gdybyśmy nawet przy-

stąpili do wyprzedawania Polski, narzucamy cudzoziemcowi naszą ustawę o pracy, ustawę, chroniącą i szerczącą próżniactwo, jedyną, na całym świecie. Mając taki wybór, zagraniczni kapitaliści nie zląkomią się na polskie bogactwa naturalne, nawet na warunkach kapitulacji, chybaby na roboty sprowadzali chińskich kulisów.

Wspomniałem wyżej z innego powodu o lasach, w których nieznający sprawy ekonomiści pogawędkowi upatrują uniwersalne lekarstwo na naszą finansową chorobę. Ale gdyby nawet znalazł się ktoś, ktoby za cenę spustoszenia Polski na wieki, zapragnął zdobyć obcy kapitał, to i ten dyletant zawiódbi się mocno. Żaden cudzoziemiec nie przyjmie eksploatacji lasów na dłuższy czas, bo nie wie, co się z nimi stać może jutro. Wszak to samo stronnictwo, które jednym głosem większości zdeprecjonowało ziemię, postawiło już wniosek o daninę lasową, czyli zabór cudzego drzewostanu!!

To nieposzanowanie cudzej własności, ten rabunek, ubierany dla pozorów w formy ustaw, znosi zupełnie bezpieczeństwo prawne w Polsce i uniemożliwia przyływ obcych kapitałów!!

5. Obniżenie wartości moralnych.

Ale obok obniżania cen wartości materialnych zdołano już u nas obniżyć szacunek dla dóbr moralnych. Praca w Polsce jest poniżona, zdeprecjonowana, a czasami wzbroniona. Posiadamy najkrótszy na świecie tydzień roboczy i przy powrocie do normalnych stosunków w świecie, nie wytrzymamy konkurencji z nikim. U nas obowiązuje tydzień 46 godzinny, gdy nawet konwencja waszyngtońska przewiduje tydzień 48 godzinny. U nas tylko Minister Ochrony pracy może wyjątkowo pozwolić na przedłużenie dnia ośmiogodzinnego i to w najwyższym wymiarze 100 godzin dodatkowych na cały rok, gdy konwencja waszyngtońska zezwala na przedłużenie dnia do 10 godzin za obopólną zgodą pracodawcy i robotnika. U nas za godzinę nadliczbową płaci się minimum 50%, a w regule 100%, gdy konwencja żąda tylko 25% nadwyżki. A i tak są państwa, które nie przyjęły konwencji waszyngtońskiej, jako zbyt ograniczającej czas i warunki pracy!!

Polskie ustawodawstwo i gorsza od niego praktyka ministerstwa ochrony pracy starają się o to, żeby praca była jak najmniej wydajną! Umowy akordowe są prawie wyklęte. Płaca nie śmie się stopniować wedle wydajności pracy, tylko wedle stosunków rodzinnych pracownika. Widziałem w Bielsku tkaczy fabrycznych, zniechęconych do rzetelnej pracy, bo jak mówili, nie chcą się natężyć na korzyść dzieci tych a tych próżnia-

ków! A był czas, kiedy w jednej szkole średniej, prowizoryczny pomocnik tercjana brał płacę wyższą nietylko od płacy swego szefa tercjana, ale od profesorów i samego dyrektora!!!

Unikanie pracy akordowej, wynagradzanie pracy nie za jej wydajność, ale za okoliczności, nie stojące z nią w żadnym związku, sprawiają, że nie opłaci się nikomu doskonalić się w swoim zawodzie ani starać się o wydajność i skuteczność pracy. Zajęcie przestaje być posterunkiem pracy, a staje się zaopatrzeniem z przymusu. Tego rodzaju praktyki wstrzymują dążność do doskonalenia się w zawodzie. Stąd płynie poprostu ustawy przymus do niefachowości, premiowanie niezdatności, hodowanie niesumienności.

A Polska nie odznaczała się nigdy nadmiarem fachowców ani w pracy fizycznej ani w umysłowej. Dotychczasowe ustawy i praktyka zabijają beznadziejnie wszelki popęd do doskonalenia się w swoim zawodzie. Kiedy wróci prawdziwy pokój i narody zaczną pracą z sobą konkurować, Polska będzie ostatnim narodem, bo kilkuletnie rządy wedle recepty lewicowej rozbiją ją całkowicie i uczynią absolutnie niezdatną do tej pokojowej walki na zdatność, fachowość i sumienność. Wtedy będzie musiał upaść nasz przemysł, nasze rolnictwo, nasze górnictwo i zostaniemy krajem nędzarzy, zaopatrującym się z trudem w wybiórki obcej tandety.

Zapanował u nas tryumf niefachowości i niekompetencji. W wojsku obsadzono wyższe stanowiska masażystami, lakiernikami, pisarczukami, dlatego tylko, że związali swoje losy z karierą p. Piłsudskiego. A który z analfabeckich paladynów komendanta nie miał apetytu na szlify generalskie, zostawał dyplomata, ambasadorem. Najbardziej jaskrawą ilustracją tego kultu niekompetencji jest fakt, że od chwili powstania Polski aż do dnia dzisiejszego nie było na stanowisku szefa administracji czyli ministra spraw wewnętrznych prawnika, to jest człowieka, posiadającego znajomość prawa administracyjnego!! Lustratorzy spółdzielni mieniali się na tem stanowisku z aptekarzami, improwizowanymi generałami itd. O doborze starostów, wojewodów możnaby napisać tomy zjadliwych humoresek!! Od robotnika pomocniczego w fabryce, na kolei itd. aż do wice ministrów, którzy powinni być najwyższymi dygnitarzami w świecie fachowych urzędników, wszędzie w zawodach cywilnych i wojskowych rozstrzyga o objęciu stanowisk przynależność partyjna, znajomość osobista, koleżeństwo, wszystko prócz fachowości!! W świecie robotniczym system płac obrzydza ludziom doskonalenie się w zawodzie i sumienną wydajność — w świecie urzędniczym i oficerskim wysuwa się na kierownicze stanowiska niefachowych dyletantów!! Gdyby ci

szefowie improwizowani mieli dość sumienia czy smaku, dobieraliby sobie za pomocników same siły fachowe. Wtenczas zyskałaby i sprawa sama i niefachowy szef zbierałby laury i uznania za pracę skuteczną pomocników, pozostających w cieniu.

Tymczasem zamiast dbałości o bieg powierzonych spraw panowie ci okazują tylko dbałość o własny prestige. Nie dopuszczają więc do swoich biur nikogo, kto mógłby wiedzą i doświadczeniem zaćmić improwizowanego szefa! Jeżeli podobne niedopatrzzenie gdzieś zaszło, starają się czempredziej je naprawić, ażeby wprowadzić bezwzględny i powszechny dyletantyzm!!

6. Posada a nie stanowisko.

Wytworzyła się stąd osobna, swoiście polska psychologia. Mnoży się liczbę urzędów i urzędników, ażeby dać własnym ludziom posady! Urząd cywilny czy wojskowy przestał być stanowiskiem, na którym spełnia się pewną służbę publiczną dla dobra państwa i pożytku obywateli, a stał się posadą, czyli tytułem do pobierania płacy i zapewnienia szczęśliwcowi praw i wygod, jeżeli nie wprost możliwości robienia niedozwolonych interesów! Stąd to tak robotnik, jak urzędnik czy oficer polski był wychowany nie dlatego, ażeby na swoim stanowisku dostarczyć jaknajwydatniejszej pracy, lecz po to, ażeby brał pensję, korzystał z udogodnień kolejowych, wynosił się nad innych, błyszczał i ewentualnie przyjaciółom i poplecznikom oddawał usługi z krzywdą dla ogółu obywateli! Godziny pracy były godzinami, przeznaczonemi na „odsiedzenie“. To też wychowanie nasze zmierza do marnowania czasu w fabryce czy w biurze, bo tu nie chodzi o pracę, lecz o zajęcie, o prześłęczenie czasu na posadzie! Nawet z pracy w fabryce czy w kopalni socjalizm robi posadę, uprawniającą do wymagania największej ilości korzyści za jaknajmniejszy trud!!

Praca w Polsce nie popłaca! Praca została zdyskwalifikowana, zdeprecjonowana. Praca staciła cenę!

A przecież praca jest jedynym źródłem bogactw, wytwórcą trwałych wartości. Praca czyni ze stepu owoconośną rolę, praca dobywa z ziemi bogactwa naturalne i powiększa majątek obywateli i państwa. Polsce zaś specjalnie potrzeba pracy. Połowa obszaru Rzeczypospolitej zniszczona przez wojnę, rzeki nieuregulowane, miasta nieskanalizowane, brak linii kolejowych, szos, mostów. Nam potrzeba niezmiernego wysiłku pracy, ażeby dorównać nie już Niemcom, Francji, Anglii, Włochom, ale bodaj Hiszpanji czy Portugalji!!

I dlatego właśnie, ażeby postąpić wbrew logice i inaczej niż wszyscy, paraliżuje się pracę, zniechęca się do niej, obrzy-

dza się ją, ogranicza, zabrania, poprostu zakazuje, a w każdym razie odbiera się jej cenę i zapłatę!!

Geniusze z naszego Ministerstwa Pracy wyjaśniają, że ograniczenia pracy fizycznej należy dlatego zatrzymać, aby wszyscy robotnicy mogli znaleźć choćby skrócone, ale perjodyczne stałe zatrudnienie.

Ale właśnie te ograniczenia sprowadzają małą wydajność pracy, a co za tem idzie, niemożność konkutowania z zagranicą, czyli zamykanie fabryk, a więc całkowitą utratę możliwości pracy.

Tymczasem rzecz należało postawić inaczej. Dla zatrudnienia ludzi, pragnących zarobku, należy ułatwić przedsięwzięcie coraz nowych prac i otwieranie nowych fabryk i kopalń, czyli źródeł zarobku.

Pieniądze, wydane na zasiłki dla bezrobotnych, tudzież pieniądze, wydane na utrzymanie urzędów, pilnujących zakazu pracy, byłyby wystarczyły na zatrudnienie kilkudziesięciu tysięcy nowych rąk przy robotach rzecznych, ziemnych, kolejowych, kanalizacyjnych, budowlanych itd.

Dla zmniejszenia wydajności pracy w urzędach, dla znaczenia obowiązującej zasady niekompetencji, obmyślono „postępową” pragmatykę służbową, w której dodatek za wysługę lat był znacznie wyższy od dodatku za wyższe studja. Była to niejako kara za to, że nieprzezorny człowiek stracił cztery do sześciu lat na studja uniwersyteckie, zamiast od razu po szkole średniej wstąpić do służby państwowej. Tych kilku lat miał już nigdy nie nadrobić i zawsze pozostać w tyle poza tymi ze swoich kolegów, którzy nie byli łakomi na wiedzę wyższą!!

Obecnie prąd ten trochę się zmienia. Ale nie rychło da się zło naprawić. Chociażby ułożono najlepszą pragmatykę urzędniczą, zawsze próżniak, nicpoń i osioł znajdzie drogę do przeskoczenia innych: wystarczy mu za wszystkie kwalifikacje przysługa, oddana niesumiennym wrzaskiem jakiemuś stronnictwu. Pismaka piastowcowego narzuci się na kuratora, żydówkę socjalizującą na szefa departamentu oświaty pozaszkolnej, krzykacza wiecowego na dyktatora walki z drożyzną itd.

7. Zestawienie przyczyn.

Wstrząśnięto, załamano, spaczono i wykrzywiono u nas wszystkie zasady, na których odbywa się rozwój społeczeństwa: a) w kraju nienasyconego głodu ziemi odebrano ziemi cenę, b) w kraju o największej nędzy mieszkaniowej odebrano wartość domom, c) w kraju dyletantów i analfabetów odebrano szacunek i cenę wiedzy i nauce, d) w kraju, wymagającym zdwojo-

nej pracy całych pokoleń nałożono kagańce na pracowitość i zdeprecjonowano pracę, e) w kraju, który wytwarza sobie dopiero formy życia, zniszczono i podkopano bezpieczeństwo prawne.

Jednym słowem: zepchnięto państwo i obywateli na równie pochyłą, po której nieuchronnie i w przyspieszonym tempie państwo i obywatele staczają się w nędzę!!!

Na takich podstawach, będących zaprzeczeniem zdrowej gospodarki, nie można oprzeć ani budżetu ani pieniądza, będącego miernikiem bogactwa.

Nie dziw zatem, że im bardziej rośnie cyfra naszych banknotów, tem bardziej maleje nietylko wartość poszczególnych not, ale wartość całej mnożącej się zawrotnie emisji. Maleje wartość całości naszej waluty, będącej w obiegu, bo maleje zamożność i zmniejsza się wartość majątku tak ogólnego jak prywatnego.

Kiedy w roku 1920 cała kilkumiljardowa emisja marek polskich warta była 538 milionów franków szwajcarskich, to z końcem roku 1922, emisja nasza, wykazująca 793 miliardów marek, warta już była tylko 133 milionów franków szwajcarskich. Jest to zjawisko wprost zatrważające. Ale jest to i najlepszy dowód, że zamożność czy bogactwo powszechne tak obywateli, jak i państwa spadły w ostatnich dwóch latach czterokrotnie, a w porównaniu do początku roku 1919, kiedy nasza emisja warta była prawie 900 milionów franków szwajcarskich, prawie siedmiokrotnie! Zestawienie z cenami przedwojennymi wymagałoby obliczeń zbyt długich na ramy tej rozprawy.

I tu trzeba odróżnić inflację od zmniejszenia majątku. Gdyby nasza gospodarka opierała się na zdrowych podstawach, a tylko skarb nieufundowany ratowałby się emitowaniem niepokrytych banknotów, to 700 milionów marek z początku 1919 roku, byłyby warte to samo, co 5 miliardów marek z początku roku 1920, to samo, co 793 miliardów z końca roku 1922. Byłby to tylko spadek pieniądza, ale nie zmniejszenie się zamożności. Tymczasem u nas dokonywa się raptownie ubożenie ludzi i państwa, a jednym z jego mierników jest pomniejszanie się wartości całej naszej emisji, mimo, że ona zawrotnie się zwiększa.

Z tego wynika, że u nas niema i być nie może oszczędności. Pieniądz oszczędzany traciłby taksamo gwałtownie swoją wartość jak cała nasza emisja. To znaczy, że pewna suma złożona w banku jako oszczędność, gdyby po miesiącu została podwojona przez nową oszczędność, miałaby wtedy w tej podwójnej wysokości wartość mniejszą, niż ją miała przed miesiącem w swojej pojedynczej wysokości.

W tych warunkach ktokolwiek nie chce być złodziejem samego siebie, ten nie może odkładać na bok oszczędności, nie może oszczędzać!

Doprowadzić do takiego absurdu, żeby oszczędność była okradaniem samego siebie, jest to naprawdę sztuka, jakiej wzór dała nam tylko Rosja sowiecka! A tymczasem jedyną podstawą zamożności jest oszczędność. Praca tworzy podwaliny majątku, ale oszczędność tworzy sam majątek.

Jednakże ani kazania, ani przepisy, ani policja nie zmusi ludzi do oszczędzania, jeżeli oszczędzanie nie będzie interesem.

Próby naprawy skarbu przez samo ściąganie większych podatków są zawodne, bo to rzecz prosto technicznie prawie niemożliwa.

Bierzmy tylko taki przykład: 400 tysięcy funkcjonariuszów państwowych otrzymuje na pierwszego 300 miliardów pensji, a więc jedną czwartą wszystkich banknotów. Przynajmniej połowę z nich zatrzymuje w kieszeni na codzienne wydatki. A nim je do końca miesiąca wydadzą, kasy skarbowe muszą nagromadzić zapasy marek na wypłacenie nowych 300—400 miliardów najbliższego pierwszego. Jakim sposobem po usunięciu z obiegu około 200 miliardów podatnicy przy pomocy pozostałych 1000 ca miliardów złożą kolosalne, nowe sumy podatkowe??

Jest to tylko szczegół, wyrwany z całego splotu skombinowanych zagadnień, ale szczegół ilustrujący trudności naszego stanu. Temu stanowi nie zapobiegnie zwiększenie druku nowych banknotów. Przypuśćmy, że zamiast 1200 miliardów, rząd z czasem puści 2 lub 3 razy tyle papierków w obieg, to te 2 czy 3 biljony będą dalej miały wartość może już niccałych 100 milionów pełnowartościowej szwajcarskiej monety.

Jest to wynik ustawowego zabicia oszczędności. Dziś jedynym sposobem uchronienia się przed stratami jest zakupywanie towarów (lub obcych walut!!!)

Stąd zaś skutek, że nie mamy „banków“. Instytucje, które noszą te nazwiska, nie są wcale bankami. Nie otrzymują bowiem od publiczności gotówki w formie depozytów, wkładek oszczędności itd. i nie udzielają pożyczek. Cała działalność tych instytucyj, które u nas noszą nazwisko banków, ogranicza się do spekulacji, której jedynym celem jest zapewnienie wygodnego życia urzędnikom i dyrektorom tych instytucyj. Są to więc raczej spółki wzajemnej asekuracji bytu funkcjonariuszów tych instytucji.

Rząd dobrze zrobił, że zaledwie 50 prawdziwym bankom przedwojennym udzielił prawa zakupu i handlu dewizami!!

Dobrze zrobił, że zgniół jednym zamachem „waluciarzy-żydów“, jobberów, spekulantów, „bandytów“ własne państwo okradających!!!

To pierwszy krok do naprawy skarbu i naszych stosunków!
Oby tylko rząd na tej drodze wytrwał!!!

Rozdział III.

Groza dzisiejszego położenia.

W kraju jest bieda, rosnąca z dnia na dzień. Dla braku środków obiegowych i niemożliwości kredytu zaczyna się zamykać fabryki i rzucać robotników na bruk. Połowa ludności włościańskiej weszła już w okres przednówka czyli głodowania. Nie widać tego w województwach zachodnich, oraz w większej części byłej Kongresówki. Ale w byłym zaborze austriackim i na kresach małopolska ludność już się obchodzi bez chleba, porzysztając na ziemniakach, których, kto wie, czy wszędzie do żniw wystarczy?!

Rołnicy samowystarczalni wyczerpali już prawie wszystkie oszczędności. Nikt nie zwraca na to uwagi, że rok ubiegły 1922 mimo wszystko był rokiem „kłęski“, rokiem nieurodzaju!

W okresie zasiewów wiosennych i nadchodzącego przednówka, kiedy zboże zawsze podnosiło się w cenie, jesteśmy świadkami zjawiska wręcz odwrotnego: ceny zboża wahają się, ale spadają!

Jest to zjawisko z punktu widzenia gospodarczego bardzo niepokojące. Gdyby bowiem równomiernie spadały ceny innych towarów, a przynajmniej, gdyby utrzymywały się na jednym poziomie, możnaby to zjawisko tłumaczyć wyzwalaniem się zpod spekulacji, która dotąd „sztucznie“ podnosiła ceny.

Tymczasem istota rzeczy jest zupełnie inna. Ludność rolnicza wydała już wszystkie zapasy pieniędzy, wyczerpała wszystkie środki zdobycia gotówki, potrzebnej na bieżące zakupy i rzuca na rynek zboże, potrzebne albo na przeżycie do żniw, albo nawet na zasiewy wiosenne. Trzeba się liczyć z kłęską głodu w połowie państwa i to głodu na wsi, produkującej środki żywności. .

Tem dotkliwiej odbije się to zjawisko na miastach i ośrodkach przemysłowych w maju i w czerwcu, kiedy zostaną spóżyte ilości zboża, rzucane teraz na targ.

Jeżeli do tego stanu klęski przyjdą zwiększone świadczenia na rzecz państwa, rachunek p. Ministra Skarbu może okazać się bardzo zawodnym!

Niedostatek powszechny wyradza powszechne niezadowolenie. Nastrój jest zły. Ludzie czują to staczanie się do przepaści i nie widzą zarządzeń, któreby przez swoją energję mogły wzbudzić wiarę w to, że czynniki decydujące zdają sobie sprawę z położenia, że obmyśliły program skuteczny i że wedle tego programu działają.

Stąd płynie uczucie beznadziejności. A ta beznadziejność budzi potrzebę porwania się na jakiś krok niezwykły, stanowczy, przecinający od razu zło.

Jest fałszywą nutą porównywanie dzisiejszego położenia gospodarczego z położeniem strategicznem w okresie bolszewickiego najazdu. Porównanie to bowiem utrwała wiarę, że jakiś jednorazowy wysiłek potrafi naprawić położenie gospodarcze tak samo, jak wielki wysiłek woli i zapału naprawił w 1920 roku nasze położenie polityczne i wojskowe!

Tymczasem tak nie jest. Na poprawę stosunków gospodarczych jednorazowe napięcie woli i chwilowa ofiarność, posunięta choćby do poświęcenia się, nie wystarczy. Tu trzeba planowej, długiej, nieustannej pracy przez szereg lat! Byłoby dobrze, gdyby to, co zepsuła „piłsudczyzna“ przez lat cztery dało się odrobić i naprawić w latach czterech tylko bardzo roztumnej, planowej i nieugiętej wytrwałej pracy.

Ale ludność, karmiona frazesami, przyjmuje analogję z rokiem 1920 jako prawdę i szuka hasła, formy, środka, który zabagnione sprawy postawi jednym rzutem, jednym zamachem na nogi!

I znajduje „apostołów“, którzy tę dobrą nowinę przynoszą w postaci komunizmu. Nie mamy się co łudzić. Podkład dla bolszewizmu w Polsce istnieje! Wytworzyły go niezdrowe stosunki, na których uzdrowienie radykalna część społeczeństwa nie widzi skutecznego środka normalnego i dlatego gotowa przyjąć środki nienormalne, hazardowe, krwawe, bezprawne!

Komuniści pracują! Pracują z wyczerpaniem przy pomocy neutralności naszych lewicowych rządów, oraz socjalizujących czynników. Sami komuniści, bez tej pomocy nie dokazaliby niczego! Naród polski jest roztropny i zdrowy. Bolszewizm nie znalazłby posłuchu w duszach Polaków, gdyby nie miał prekursorów, prostujących przed nim ścieżki!!

Najglówniejszym współpracownikiem bolszewizmu, torującym mu drogi, jest socjalizm. Socjalizm polski odgradza się od bolszewizmu w publicznych występach, ale przez swoje postępowanie otwiera mu na oścież wrota do Polski. Trzeba być nieładą scholastykiem, lubującym się w rozmaitych „distinguo”, ażeby tę różnicę między socjalizmem a bolszewizmem dojrzeć. W czynach, w postępowaniu, w metodach, różnicy niema. I jest między nimi taka wzajemność, że można do nich zastosować starą piosenkę: socjalista i bolszewik — nieodrodne dwa bratanki!

W ogonie socjalizmu idzie t. zw. lewicująca inteligencja. Jeżeli w procesie Toeplitza i towarzyszków pięciu adwokatów, nie należących oficjalnie do socjalizmu, domaga się publicznie wolności szerzenia komunizmu wśród wojska, i za to nie dostają się do więzienia jako winni zbrodni stanu, to trzeba sobie powiedzieć, że zaraza bolszewicka zatruła wielką ilość dusz i sparaliżowała wolę władz. Władze nie śmiały wystąpić przeciw machinacjom, wymierzonym na zniszczenie dzisiejszego porządku społecznego i politycznego, bo się boją, żeby im nie zarzuciono „zdrady postępu”, przejścia na stronę „reakcji“!

I to jest najbardziej zastraszający objaw. Cała nasza lewica i kokietujące z nią władze utraciły samozachowawczy instynkt państwowy i chorują na rosyjskie porażenie.

Ma w tem tkwić bardzo sprytna polityka naszych władców. Tolerują bolszewizm, ażeby jego niebezpieczeństwem szachować żywioły narodowe. Takie żonglowanie bolszewizmem zaspokaja ich zachcianki ryzykanckie, a nadto ułatwia socjalistycznym masom dalszą wiarę w to, że ich przywódcy, dorwawszy się władzy, nie stracili z oczu swego programowego celu: rewolucji! Głosili rewolucję, kiedy się czaili po suterrenach, głoszą ją, bawią się nią, żonglują, kiedy zakupili majątki, zabezpieczyli sobie kapitały i zamieszkali w pokrólewskich pałacach.

Jest to igranie z ogniem, który może Polskę strawić. Przypominam tym panom balladę Goethe'go p. t. „Der Zauberlehrling“, gdzie uczeń wywołuje duchy i każe im nosić wodę, ale zapomniał zaklęcia, które duchy oddała i dlatego prawie się topi. „Nie umiem się pozbyć duchów, które wywołałem“, krzyczy z rozpaczą! A ten krzyk będzie krzykiem naszych przetłuszczonych hodowców rewolucji, bo w chwili stanowczej „oni“ nie opanują ruchu, jaki wypiałowali. We wszystkich rewolucjach druga warstwa ofiar składała się z tych, którzy rewolucję wywołali!

O ten nasi rewolucjoniści nie pamiętają!

A tymczasem przy ich życzliwej pobłażliwości nastrój rewolucyjny robi postępy. Niezadowolnienie rwie pęta — gdy wy-

buchnie nieskoordynowany poryw; bolszewicy i żydzi dadzą mu kształt i organizację sowiecką!

Warunkiem powrotu do zdrowia jest wyrzeczenie się i całkowite zaprzeczenie socjalizmu. Tymczasem nasi socjalizujący kierownicy nawy państwowej prowadzą nieuchronnie do wybuchu ostrego, zapalnego socjalizmu w formie bolszewickiej. Jest to wypędzanie czarta belzebubem. A do tego zdążamy!

Społeczeństwo zachorowało na bezwład woli, na przytępienie zmysłu samozachowawczego. Rząd pozwala na komunistyczne demonstracje bezrobotnych, prowadzonych przez świetnie odżywionych, elegancko ubranych kierowników i przeprowadza rokowania z indywiduami, które powinien zamknąć. Prokuratorja (np. w procesie Toeplitza) pozwala na urąganie ustawom i na głoszenie praw do szerzenia komunizmu w woj-sku!!!

Masy, wychowane na socjalistycznej nauce, brzydzące się pracą, żyjące pożądliwością na cudzą własność, doprowadza się „drożyzną“ do głodu, który i bez socjalistycznej nauki jest z natury rzeczy bardzo złym doradcą! Społeczeństwo cierpi, czasami boi się i szanuje „apostołów wojny domowej“, a stronnicwa. popierające rząd, forytują na dostojenstwa zawodowych obrońców komunizmu, szpiegostwa, przewrotu i zdrady!

Bawią się w rewolucję, igrają z przewrotem i zamachem — a zapominają o tem, że przewrót, zamach, rewolucja jest celem, do którego dążą nasi wrogowie i że z takiego wybuchu skorzystają tylko żydzi, Niemcy i bolszewicy!

Dzieje się coś potwornego! Z wyjątkiem bolszewicko-żydowsko-niemieckich płatnych agentów, spragnionych rzezi i mordu na wzór Rojzy z Kamieńca, nikt rozsądny u nas rewolucji nie chce! A jednak wyswiechtane kabotyny, nie umiejące już na swej przechryplej katarynce wygrać innej nuty, prócz tej, jakiej się nauczyli za odległej młodości, powtarzają wyuczzone, przebrzmiałe, zwietrzałe kuranty i między jedną a drugą czkawką wołają: krwi i walki! Spalimy wam spichrze! Burzujów na latarnie! Zapominają, że tych poduszczeń, z których sami się między sobą śmieją, słucha młodzież, słucha zbiedzony i oglupiony przez nich tłum i poddaje wyobraźnię pod obrazy krwawe i koszmarowe widziadła! Dźwięki na spłowiałych ustach spierniczałych przywódców stają się nakazem, objawieniem dla motłochu i tłumy, który wierzy „słowu“ i chce słowo przetopić w czyn!

Na to właśnie czyhają żydzi i wszyscy nasi wrogowie. I zacierają ręce, bo szczerwacze nasi dla nich pracują, dla nich

sieją. Z tej siejby żniwo dla wrogów Polski, cywilizacji i świata! Wergilowskie woły w jarzmie międzynarodówki orzą nie dla siebie, ale dla żydów, Niemców, Sowieców!

Dla tego kto Polak powinien zerwać te kazirodcze związki, wyrzec się słabości względem podjadków państwa i narodu, przeciwstawić się tej chorobie, która jak rak toczy część społeczeństwa! Dziś czas tylko na dwa kierunki, dwa obozy: Polacy i nie-Polacy. Dziś chodzi o byt narodu i państwa! Musimy wykrzesać z siebie siłę dla oparcia się złemu. Jesteśmy przeciw synami cywilizacji łacińskiej, cywilizacji męskiego zdawania sobie sprawy z rzeczywistości, cywilizacji jasnych środków i planowych poczynań! Byzantyńsko-rosyjskie niesprzeciwianie się złemu, obce jest duchowi łacińskiemu. Cywilizacja zachodnia zachęca właśnie do zwalczania, do wypleniania, do tępienia złego. Najwyższym nakazem średniowiecznego bohatera „bez trwogi i zmazy“ było naprawianie krzywd i ściganie niesprawiedliwości. Więc musimy wydać walkę złemu, które doprowadziło Polskę do ruiny, a jeżeli mu nie położymy tamy, gotowo ją doprowadzić do zguby!!

Walka jest łatwa! Trzeba cierpiącym i bałamuconym wskazać wyraźnie winowajców, odpowiedzialnych za stan dzisiejszy, to jest socjalistów i lewicowych klasowców, działających na korzyść żydostwa. Jeżeli ci panowie zechcą rozdmuchiwać i rozniecać gniew ludu, zamiast zabrać się do ratunku, to niech ten gniew zna właściwe adresy: Lewica z żydostwem! Lewica na korzyść żydostwa odjęła wartość domom, ziemi, wiedzy, pracy i oszczędności — lewica rządziła sejmem i krajem (klasyczny przykład: przesilenie z czerwca 1922), niechżeż więc lud zubożony i ogłodzony dowie się jasno, kogo pociągnąć do odpowiedzialności! A podjadkowie państwa, rozniecający dzisiaj ruch komunistyczny, niechaj zobaczą, że kręcili powrót na własne szyje!!

Rozdział IV.

Środki skutecznej naprawy.

Od kilku lat już woła się o naprawę, o ratunek.

Minister Grabski obmyślił sposoby powstrzymania naszej waluty od upadku. Można mieć różne zdania o jego projektach. Ale jedno pozostaje faktem: jakkolwiek program, choćby najbardziej niewystarczający, jest już postępem.

Ktoby chciał rozejrzeć się bliżej w sprawach walutowych i skarbowych, niech sobie przeczyta mowę posła Głębińskiego, wygłoszoną 8 marca 1923. Trzeba sobie powiedzieć, że dobrze jest, iż wogóle zaczęło się coś w tym kierunku robić! Jeżeli się uda powstrzymać stały spadek marki, da się podstawy do nawrotu na drogę oszczędności!!

Wszystkie te jednak sposoby, mniej lub więcej skuteczne, zdołają najwyżej powstrzymać spadek waluty. Nie potrafią ani pomniejszyć powszechnego zubożenia, ani tem mniej stworzyć podstaw do utworzenia zdrowego pieniądza, jako warunku podnoszenia się powszechnej zamożności.

Do tego potrzeba koniecznie zmienić cały system naszej gospodarki.

A więc przedewszystkiem przywrócić własność prywatną, zabezpieczenie prawne i godność pracy. Wszystkich sposobów należy użyć, ażeby zaostrzyć ochotę do pracy przez zapewnienie jej wynagrodzenia stosownego do wydajności, ważności i odpowiedzialności!

Należy zmienić krępujące i „złośliwe“ ustawy. Reforma rolna nie może się opierać na ustawowem skasowaniu prywatnej własności, lecz na dopomaganiu biedakom do osiągnięcia zamożności. Pruska „komisja kolonizacyjna“, tudzież włości rentowe dają doskonałe i wypróbowane pod tym względem wzory.

Zaznaczam przytem, że reforma rolna, choćby doprowadziła do poszatkowania całej Rzeczypospolitej na „zagonki“, nie załatwi sprawy przeludnienia!

Bezrolni powinni znaleźć zajęcie w przemyśle, do rozwoju którego Polska ma nadzwyczajne warunki. Wystarczy wskazać na niezmierzone bogactwa Karpat, tudzież pogórza krakowskiego i kieleckiego. Cała przestrzeń kraju od czeskiej granicy po Częstochowę na północ i po Rzeszów na wschód, mogłaby być pokryta kopalniami i fabrykami, zamienić się na nieprzerwany ciąg miast i kominów fabrycznych, gdyby u nas chcieli pracować nad otwarciem nowych źródeł zarobku i bogactwa, zamiast wysilać mózgi nad sposobami rozdrapania tych resztek, jakie ocalały podczas wojny!

Takie rozwiązanie sprawy dałoby pracę, dobrobyt, bogactwo setkom tysięcy, a dostatnie życie wielu milionom. Mamy w kraju warunki do zatrudnienia wszystkich pragnących pracy intratnej, a tymczasem dziesiątki tysięcy marzą o otwarciu granic Stanów Zjednoczonych, lub rwą się bodaj do Francji!

Jednakże ani swoi ani obcy nie będą ryzykowali wkładów w tworzenie nowych przedsięwzięć, dopóki nie będą pewni, że ich jakaś przypadkowa ustawa nie wywłaszczy!

W sprawach dotyczących zachęty do pracy, należy najrychlej wprowadzić konwencję waszyngtońską, ażeby dla naszej wytwórczości stworzyć równe warunki konkurencji z innymi państwami. Wydajność pracy, zdatność, kwalifikacja, odpowiedzialność musi być honorowana i premiuowana, jeżeli chcemy zmierzać do postępu i doskonalić się aż do dorównania anglo-saskiemu i łacińskiemu zachodowi. Dziś przez zacofanie, nieuctwo, rozpróżniaczenie słowiańskie, przez brak kultury pracy, stoimy daleko poza wymienionymi narodami.

A skoro do tego przychodzi jeszcze ustawodawstwo, odstraszające od doskonalenia się w zawodzie i skracające czas zatrudnienia poniżej norm światowych, znajdujemy się w położeniu beznadziejnym. Czas nawrócić jaknajprędzej, żeby niebawem nie było zapóźno!

Po głowach polskich błąkają się jeszcze ciemne reminiscencje czasów przedrozbiorowych, jakoby Polska była i musiała pozostać krajem rolniczym! Sam rachunek, wskazujący, że przy równym obdzieleniu ziemią całej ludności włościańskiej, nie wypadłoby po 6 ha na rodzinę, przeczy temu twierdzeniu! Zaciekły upór w pozostawianiu na wsi wszystkich, którzy się na wsi urodzili, prowadzi do nędzy powszechnej! Jest to niezawodny sposób na pozostawienie miast, handlu, rzemiosła, jako monopolu w rękach ludności żydowskiej! Odbieranie im tego monopolu nie jest wykonalne ani przez ustawy, ani przez agi-

tację, ani przez pogromy. Jedynym skutecznym sposobem jest stworzenie takich warunków w miastach i w przemyśle, któreby pewnością lepszych zarobków znęciły choć czwartą część ludności „niby to rolniczej“ do przesiedlenia się do miast i ośrodków kopalnianych i fabrycznych.

Nie jest to sprawa trudna. Trzeba przede wszystkim znieść ustawę o ochronie lokatorów i przywrócić własność nieograniczoną właścicielom realności. Od razu zrobić tego nie można. Potrzeba przynajmniej kilku lat przejściowych, ażeby tej pracy dokonać bez wielkich wstrząśnięć.

Celem zachęty do budowania domów nowych należy prawnie zabezpieczyć im wolność od rekwizycji, ograniczeń we władaniu i podatków. Państwo na tem nic nie straci, jeżeli wyrzeknie się nakładania podatków na objekty, których jeszcze niema, a więc które „dziś“ podatków nie płacą!

Taksamo uwolnienie od ciężarów fabryk i kopalń, które mają powstać, zapewnienie im swobody eksploatacji na czas dłuższy, nie narazi państwa na straty. Zarabiający dobrze ludzie opłacą sownie podatki konsumpcyjne i w miarę wzrostu swej zamożności przyczynią się do uruchomienia tych gałęzi handlu, które już płacą podatki. Jeżeli w dzisiejszem pustkowiu powstanie setka bogatych sklepów, to ich podatki w dużej mierze zastąpią podatek bezpośredni od fabryki czy kopalni, której dziś jeszcze niema.

Ważnem utrudnieniem dla przedsiębiorczości jest skomplikowany system zezwoleń. Na postawienie tartaku, wykorzystanie siły wodnej, postawienie fabryki, otwarcie szybu itd. potrzeba zawsze zezwolenia kilku, czasem kilkunastu władz!! Długie miesiące wyczekiwań na koncesje, nieskończona ilość zabiegów po władzach powiatowych, wojewódzkich, a w końcu państwowych, niezwykle kosztowne badania komisyjne na miejscu wyczerpują nie tylko cierpliwość, ale i fundusze ludzi przedsiębiorczych. To postępowanie powinno być potانیone, uproszczone i przyspieszone.

Chcąc wybrnąć raz z impassu, potrzeba zachęcić i pobudzić zmysł przedsiębiorczości przez zapewnienie korzyści, bo innej skutecznej zachęty świat jeszcze nie wynalazł!

Należy rozwiązać ręce ludziom ruchliwym i raz już zerwać z niszczyielskim podsycaniem apetytów na cudze, a obudzić wolę do stwarzania nowych, własnych źródeł bogactwa!!

Państwo powinno się wyrzec załatwiania „wszystkich“ spraw, które mogą być załatwione przez obywateli. Dlaczego nie ułatwia się budowy i eksploatacji nowych linii kolejowych przez prywatne spółki? Państwo przywłaszczyło sobie ten mo-

popół, a że niema pieniędzy, więc samo nie buduje ale i obywatelom na to nie pozwala!!

Po uruchomieniu budownictwa, po obudzeniu przedsiębiorczości, możnaby przystąpić do oszczędności państwowej. Dzisiaj dla zmylenia uwagi publicznej, ogłasza się zniesienie ministerstwa poczt. Jest to pospolita nieszczerłość. Czy maszyna naczelna nosić będzie tytuł ministerstwa, departamentu czy dyrekcji, państwo na tem nic nie oszczędzi, bo machina ta nie da się zredukować!

Natomiast można całkowicie rozwiązać Urząd Ziemi, Ministerstwo Robót Publicznych, Ochrony Pracy, Państwową Dyрекję Ubezpieczeń, Wydział Marynarki i wiele, wiele innych zbyt kosztownych, nieczynnnych dla braku pieniędzy, czasem szkodliwych urzędów! Urzędnicy ci, zwolnieni ze służby, znaleźliby obfitszy zarobek przy przedsiębiorstwach prywatnych, gdyby tę przedsiębiorczość pobudzono i zachęcono.

Takich oszczędności możnaby bez szkody dla sprawności państwowej dokonać na setki miliardów! Nie jest natomiast oszczędnością redukcja sił w urzędach koniecznych, których skreślić nie można, bo wtedy cierpi sprawność, a więc i samo państwo!

Gdy marka zostanie stabilizowaną, gdy wzrośnie powszechnie zaufanie do rządów polskich, obywatele zaczną składać oszczędności i banki będą mogły nawrócić do swoich właściwych zadań finansowania przedsiębiorczości rolniczej, przemysłowej, gminnej i t. d.

Warunkiem jest otrząśnięcie się z socjalizujących eksperymentów, przywrócenie wartości pracy, wiedzy, zdolności, przywrócenie własności prywatnej, a więc i pełnej wartości majątkom wiejskim i miejskim, pobudzenie przedsiębiorczości przez zapewnienie bezpieczeństwa prawnego!

Bogactwa naturalne naszego kraju umożliwiają powolne wzbogacanie się wszystkich mieszkańców przez pracę i oszczędność. Należy nawrócić do tego wypróbowanego systemu.

Mamy wszystko, żeby jako państwo stać się wielkiem mocarstwem, a jako obywatele ludźmi zamożnymi i kulturalnymi! Od nas samych zależy, czy te sprzyjające warunki naturalne wykorzystamy, czy je zmarnujemy!

Biblioteka Główna UMK



300020501298



K. 2503/50

